

LATO 2020
Cena 6 zł
ISSN 1734-0098
Indeks 361941

CZYTELNIKA MBP



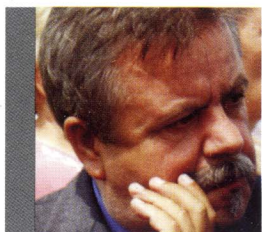
KWARTALNIK TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ ZIEMI ŁOMŻYŃSKIEJ

WIADOMOŚCI ŁOMŻYŃSKIE

62
102

100 LAT TEMU
FORTY W PIĄTNICY BRONIŁY ŁOMŻY
PRZED BOLSZEWICKĄ NAWALĄ.
STANISŁAW DĘBOWSKI „MŁOT”
PISAŁ O BOHATERACH TAMTYCH DNI M.IN.:

(...) Bracia, Waszą krwią, mocarna powstała Polska,
a Polski imieniem są wasze groby...
Wasza krew ofiarna jest dziś niewoli wszelkiej wyzwoleniem.
Więc z piersi naszych dzisiaj nie cmentarna pieśń do Was płynie.
Oto pozdrowieniem wołamy do Was: „Którzyście odbiegli,
o pozdrowieni bądźcie – Wy – Polegli!”
O pozdrowieni bądźcie w polnych kwiatkach,
które z krwi Waszej może dzisiaj rosnać...
O, pozdrowieni – w naszych młodych latach,
w tym, co w nas wieczne, co myślą radosną, poza śmierć biegnie –
w bolesnych objatach serc tych, co w grobach, jako i Wy posną
i jak Wy będą polskiej Chwały strzegli...
O, pozdrowieni bądźcie, Wy – Polegli!”



WAWRZYNIEC KŁOSIŃSKI

Co wolno wojewodzie?

Kiedy koronawirus zbliżał się do granic Polski, nie było w Łomży takiego pesymisty, który przewidziałby sądne dni, nadciągające na miasto i Ziemię Łomżyńską. Nadciągały one wcale nie z chińskiego Wuhan, tylko z... Białegostoku. Wojewoda Bohdan Paszkowski okazał się być dla łomżyniaków groźniejszy niż koronawirus. I udowodnił to 13 marca 2020 roku. Jednym podpisem pozbawił ponad 120 tys. mieszkańców regionu profesjonalnej opieki zdrowotnej w miejscowym szpitalu. Jedyny w Łomży szpital zamienił w szpital „jednoimienny”, przeznaczony wyłącznie dla podejrzanych o zakażenie i zakażonych koronawirusem. Mimo, że wcześniej, w oficjalnie dostępnych dokumentach Ministerstwa Zdrowia, zadanie to miał spełniać jeden z sześciu szpitali białostockich. Paszkowski uznał, że ponad 500-lóżkowy szpital łomżyński nada się do tego lepiej.

Nocą ewakuowano wszystkich chorych – część przedwcześnie, jeszcze nie wyleczonych, wypisano do domów, tych w gorszym stanie rozwożono do szpitali w Kolnie, Grajewie, Wysokiem Mazowieckiem lub Zambrowie. Już tamtej potwornej nocy nie wszyscy przeżyli ów transport. 120 tysięcy potencjalnych pacjentów, leczonych dotychczas fachowo w 29 przychodniach specjalistycznych i oddzia-

Szpital w Łomży przed niesprawiedliwą i poniżającą mieszkańców regionu łomżyńskiego decyzją, należał do najlepszych w regionie, mimo wielu niedostatków finansowych i kadrowych. Jako jedyny w woj. podlaskim cieszył się III stopniem kwalifikacji; wyższy – ogólnopolski – mają tylko trzy szpitale białostockie. Niezrozumiała decyzja wojewody pozbawiła ponad 60 tysięcy mieszkańców Łomży i ponad 50 tys. mieszkańców powiatu łomżyńskiego Szpitalnego Oddziału Ratunkowego. Dziesiątkom schorowanych ludzi z dnia na dzień odebrano możliwość uzyskania porady lekarskiej, na którą często czekali miesiącami. Pozostawiono ich samym sobie, skazując na wyczerpujące „podróże” (m.in. ze złamaniami kończyn) do szpitali w innych miejscowościach.

Bogumiła B. wracała z zakupami do domu. Przewróciła się na nierównej płytce chodnikowej. Poszukiwała najpierw pomocy w łomżyńskim pogotowiu, w jednej z poradni. Na próżno. W końcu karetką zawieziono ją do szpitala w Zambrowie. W bólach czekała kilka godzin na rejestrację, rentgen, na decyzję lekarza – kolejka pacjentów była ogromna. Kiedy w końcu założono jej gips i mogła wracać do domu, zrobiło się ciemno. Żadnego autobusu z Zambrowa do Łomży. Taksówkarzowi zapłaciła 170 zł. Ręka cały czas puchła i bolała. Po dwóch tygodniach nie wytrzymała, wróciła do szpitala w Zambrowie, do innego już lekarza. Okazało się, że gips kończył się akurat w miejscu złamania kości...

Marek M., 70-letni ortopeda z Łomży, były senator, pomagający nieodpłatnie mieszkańcom wielu wsi na Kurpiowszczyźnie, sam potrzebuje teraz opieki. Co trzy dni wożony jest do stacji dializ w... Mońkach, chociaż w łomżyńskiej, nowoczesnej stacji stoi bezużytecznie kilkanaście sztucznych nerek... Nie trafił się ani jeden pacjent z koronawirusem wymagający dializy.

Dokładnie w Dzień Matki, 4-letnia dziewczynka w jednym z łomżyńskich mieszkań rozbija głowę o framugę drzwi. Krew leje się, dziecko

krzyczy, matka z mężem i chrzestnym dziewczynki jadą na pogotowie przy Szosie Zambrowskiej. Jest ok. 18.30. Wszystko pozamykane. Podobnie w szpitalu. Jakiś ratownik medyczny radzi jazdę do Zambrowa. Gdy pojawiła się nadzieja na ratunek, okazało się, że... nie ma lekarza. Ktoś z personelu mówi: „W Łomży wprowadzili was w błąd”.



łach szpitalnych, zostało skazanych na wielokilometrowy transport z zawałami, wylewami, porodami, po wypadkach komunikacyjnych i innymi nagłymi zdarzeniami, do małych szpitali powiatowych, które już pomagając tylko swoim pacjentom dobrze „robiły bokami”. Na efekty decyzji pana wojewody nie trzeba było długo czekać.

Gdzie jechać, co robić?! UDSK na Waszyngtona w Białymstoku! Kolejne półtorej godziny nerwów, ale w końcu mama z córką i trzema szwami na główce mogą wyjść w... białostocką noc! Po północy mama mogła rozpakować prezenty na Dzień Matki...

Agata Durzyńska, nauczycielka z Łomży, wychodziła na taras na swojej działce, jakieś 30 km od Łomży. Upadła. Poczuła ból, więc mąż zadzwonił pod 112. Powiedzieli, żeby jechać na SOR do Zambrowa. Dotarli tam po 60 km drogi, około 13.00. Kazali jej czekać w pomieszczeniu z parawanem. Po chwili zorientowała się, że za tym parawanem leży ciało człowieka. Wyszła na korytarz. O 15.40 w dyżurce prosi o środek przeciwbólowy. Prosi o rtg. Przez ponad dwie godziny lekarz w gabinecie nie przyjął ani jednego pacjenta. Po godz. 18.00 radiolog potwierdza złamanie kości ramienia. 21.30 – opatrunek Desaulta i... wypis ze skierowaniem w poniedziałek do poradni w... Wysokiem Mazowieckiem! Boli całą niedzielę i noc. W poniedziałek rano telefon do poradni w Wysokiem. Mogą przyjąć... za dwa tygodnie! Radzą szukać pomocy w innym szpitalu. Telefon do Ostrołęki. Zgoda, przyjmą. Ale gdy pacjentka jest już na miejscu – nic z tego! Dopiero po prośbach i błaganiach lekarz przyjmuje, ale prosi o zdjęcie. W szpitalu w Zambrowie nie wydali. 70-kilometrowa trasa do Zambrowa mija nawet dość szybko. Pielęgniarka twierdzi, że nie wyda, bo nie wydają z badań wewnętrznych! Wreszcie po 40 minutach pani decyduje się wypalić płytkę. Tylko, że gdy po 15.00 pani Agata wraca do szpitala w Ostrołęce, lekarz już zakończył pracę. Na szczęście zgodził się ją przyjąć inny lekarz.

Dla 60-letniego mieszkańca Łomży z zawałem serca 30-kilometrowa trasa do szpitala w Kolnie okazała się nie do przebycia...

O ilu podobnych tragediach nie wiedzą dziennikarze i mieszkańcy?



Dramat mieszkańców Łomży i Ziemi Łomżyńskiej prezentują centralne telewizje, prasa, portale. Do walki o „odwojowanie” szpitala przystępuje starosta łomżyński. Czterej byli prezydenci miasta – o bardzo zróżnicowanych legitymacjach politycznych – proszą wojewodę o zmianę decyzji. Otwarcie o błędzie wojewody Paszkowskiego mówi publicznie były wojewoda łomżyński i były przewodniczący Sejmiku Mieczysław Bagiński. Protestowały autorytety medyczne: – W momencie, gdy ja się dowiedziałem o tym, że szpital w Łomży został wybrany przez wojewodę na „jednoimienny”, ręce załamałem – mówił prof. Robert Flisiak, kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych i Hepatologii Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku (szpital przy ul. Żurawiej) i prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych. – To nie chodzi o to, że personel jest niewykwalifikowany, że szpital jest źle wyposażony. Chodzi o to, że ten szpital zaopatruje znaczną część regionu i mieszkańcy zostali pozbawieni opieki. Profesor podkreśla,

że wojewoda podlaski nie zaprosił go, za wyjątkiem początkowego, na żadne spotkanie w sprawie Covid.

Była posłanka na Sejm RP Bernadeta Krynicka, która obecnie wróciła do pracy w Szpitalu Wojewódzkim, publicznie powiedziała, że szpital w Łomży nie jest przygotowany pod żadnym względem na przejęcie funkcji jednoimienne. Została zawieszona w prawach członka PiS.

Przywrócenia szpitala mieszkańcom domaga się prezydent Łomży, posłowie Stefan Krajewski i Lech A. Kołakowski. Starostwo śle kolejne monity do wojewody. Grochem o ścianę!

Łomżyniacy organizują się internetowo. Tworzą „Łomżyńską sztamę, czyli sąsiedzką pomoc w czasach koronawirusa”. Szyją maseczki, rozwożą je potrzebującym. Szukają posiłków i leków dla mieszkańców w najtrudniejszej sytuacji, organizują pomoc medyczną. Przez kilka dni po decyzji wojewody zmotoryzowani łomżyniacy, „uzbrojeni” w biało-czerwone flagi i banery protestacyjne, krążą samochodami po uliczkach wokół szpitala. Około stu



policjantów legitymuje kierowców, nawołuje do rozejścia się.

Powstaje „Stowarzyszenie Ochrony Praw Rodzin i Pacjentów z terenu działalności Szpitala Wojewódzkiego w Łomży Solidarni w potrzebie”. Naczelne zadanie: przywrócić mieszkańcom szpital w stanie sprzed 13 marca 2020 r. Petycje oraz nieme, jednoosobowe, weekendowe protesty wolontariuszy przed szpitalem – to główna forma działalności. 2 czerwca stowarzyszenie zaprosiło kilkanaścioro przedstawicieli organizacji pozarządowych, w celu „utworzenia społecznej koalicji na rzecz przywrócenia szpitala”.

Kilka dni wcześniej zapadła decyzja o przywróceniu części przychodni i oddziałów szpitala w Łomży do normalnego funkcjonowania. – Nie cieszy nas to w pełni – mówi prezes Stowarzyszenia Wojciech Winko. – Żądamy przywrócenia szpitala w całości, tak jak funkcjonował przed włączeniem go do sieci jednoimiennych. Dlaczego szpital MSWiA w Białymstoku, który też przez krótki czas był jednoimiennym, już funkcjonuje w całości

normalnie? Mamy uzasadnione obiektywy, potwierdzone wieloma sygnałami, także z PiS, że przed zapowiadaną na jesień drugą falą zachorowań, wojewoda znowu zabierze nam szpital. A na to nie możemy pozwolić.

500 łóżek szpitalnych w Łomży przez 2,5 miesiąca czekało na pacjentów. Z podejrzeniem koronawirusa przebywało tu w tym czasie średnio ok. 20 osób. Koszt funkcjonowania placówki był ogromny. Bo przecież nie wszystko dało się odłączyć od szpitalnego organizmu. Ktoś to dokładnie policzy?

Na facebooku pojawia się kolejna strona: „Województwo Północno-Mazowieckie”. Internauci domagają się od wojewody podlaskiego zwrotu szpitala mieszkańcom mazowieckiej Łomży i spontanicznie nawołują do organizowania referendum w sprawie odłączenia Ziemi Łomżyńskiej od woj. podlaskiego i utworzenia nowego organu administracyjnego. „Łomża bez Białegostoku sobie poradzi, podlaskie bez Łomży przestanie istnieć” – czytamy tam m.in.

Nie ulega wątpliwości, że swoją decyzją wojewoda Paszkowski dolał oliwy do ognia

w utrzymujących się od lat antagonizmach białostocko-łomżyńskich. Czy zrobił to celowo? Czy tylko zwyczajnie nie pomyślał?

Wielu łomżyńiaków stawia jednak sprawę ostro i zdecydowanie: to zemsta Paszkowskiego za to, że łomżyńscy nie poparli go w październikowych wyborach do Sejmu. Paszkowski uzyskał w okręgu zaledwie 5442 głosy – 1 proc. głosów uzyskanych w okręgu i 2 proc. głosów oddanych na jego listę.

Nawet jeśli to tylko złośliwe oskarżanie wojewody, to nie można o nich nie mówić. Tym bardziej, że racjonalnego uzasadnienia swojej decyzji w sprawie pozbawienia łomżyńiaków szpitala i narażenia wielu z nich na pogorszenie stanu zdrowia lub nawet utratę życia, wojewoda Paszkowski nigdy nie opublikował.

Od 1 czerwca obolały i rozbity szpital w Łomży próbuje wracać do normalności. Niestety, nadal z kilkoma zamrożonymi oddziałami... Szpital MSWiA w Białymstoku pan wojewoda odmroził w całości już w pierwszym, możliwym terminie.

WAWRZYNIEC KŁOSIŃSKI

STANOWISKO ZARZĄDU GŁÓWNEGO TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ ZIEMI ŁOMŻYŃSKIEJ W SPRAWIE SYTUACJI SZPITALA WOJEWÓDZKIEGO W ŁOMŻY

Od blisko dwóch miesięcy ponad 120 tys. mieszkańców Łomży i znacznej części Ziemi Łomżyńskiej nie ma bezpośredniego dostępu do profesjonalnej opieki medycznej w Szpitalu Wojewódzkim w Łomży. Dwumiesięczna praktyka wykazała aż nadto dobitnie, że decyzja Wojewody Podlaskiego i Ministra Zdrowia o przekształceniu jedynego w regionie szpitala w placówkę jednoimienną dla chorych z koronawirusem okazała się chybiona, niesprawiedliwa, nieuzasadniona merytorycznie i ekonomicznie. Naraziła setki pacjentów na utratę życia, a w najlepszym przypadku – na trwałe pogorszenie stanu zdrowia. Niestety, kolejne przykłady tej „czarnej statystyki” docierają do nas niemalże każdego dnia. W liczącym blisko 500 łóżek szpitalu, od dwóch miesięcy zajętych jest średnio zaledwie ok. 20 łóżek! Zdecydowanie bardziej racjonalnym rozwiązaniem byłoby zorganizowanie szpitala jednoimiennego w stolicy województwa, choćby dlatego, że sieć placówek ochrony zdrowia jest tu bogatsza niż w Łomży i przeznaczenie jednej placówki na szpital jednoimienny nie pozbawiłaby opieki medycznej chorych na inne dolegliwości. Od początku pandemii w woj. podlaskim notuje się kilka – kilkanaście nowych przypadków dziennie, co pozwala na logiczne, optymistyczne

spojrzenie także w najbliższą przyszłość, tym bardziej, że wskaźniki zachorowalności na koronawirusa ulegają systematycznemu spłaszczeniu. Jako Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej uważamy, że nie stać nas na dalsze tak potężne marnotrawstwo i niegospodarność, jaką jest utrzymywanie funkcji szpitala jednoimiennego w Łomży.

W tej sytuacji przywrócenie normalnego funkcjonowania Szpitala Wojewódzkiego w Łomży, z oddziałami i przychodniami, staje się absolutną koniecznością i potrzebą chwili. Przekładanie decyzji w tej sprawie na kolejne terminy spowoduje, że więcej mieszkańców Łomży i Ziemi Łomżyńskiej będzie narażonych na utratę zdrowia i życia z powodu chorób kardiologicznych, onkologicznych i innych, niż koronawirus.

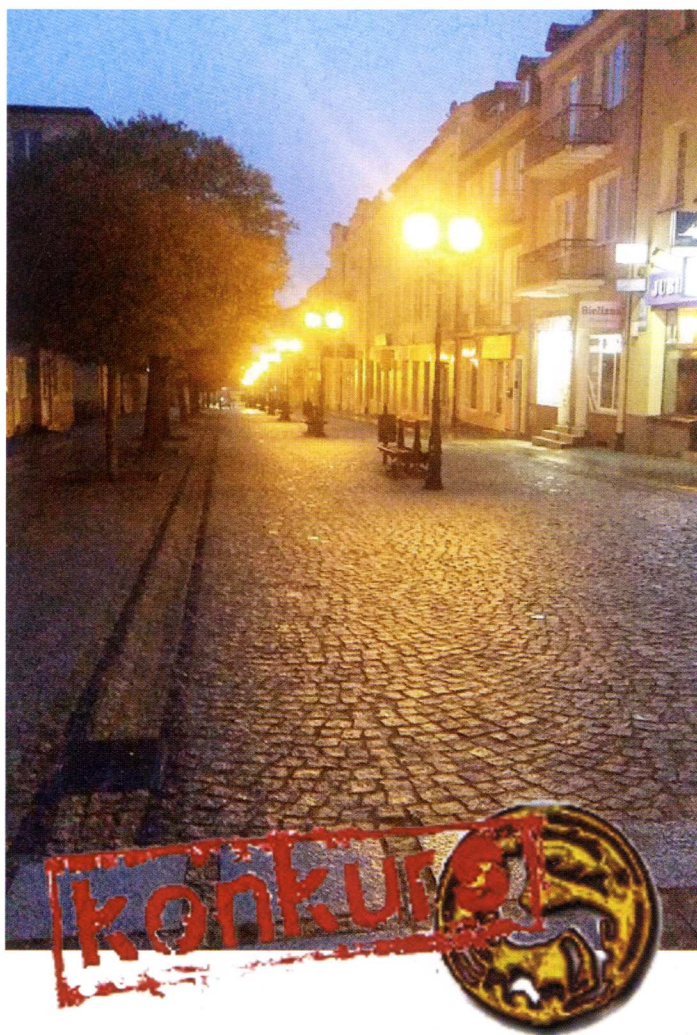
Potrzebę podjęcia szybkich decyzji zmieniających sytuację szpitala w Łomży popierają pracownicy szpitala – lekarze i pielęgniarki, popiera też wielu specjalistów. Zdaniem wybitnego nefrologa, wieloletniego ordynatora oddziału nefrologicznego i stacji dializ Szpitala w Łomży, specjaliści w zakresie organizacji służby zdrowia dr. n. med. Henryka Perkowskiego, w tej chwili niewątpliwie zagrożone jest bezpieczeństwo zdrowotne mieszkańców regionu łomżyńskiego. Pacjenci czekają na przerwane porady specjalistyczne, hospitalizacje i zabiegi.

Dr Perkowski jest przekonany, że czas podejmować decyzję o przywróceniu normalnego i pełnego funkcjonowania Szpitala.

Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej w pełni zgadza się z wnioskiem dr. Perkowskiego w kwestii przeorganizowania pracy szpitali w całym województwie. W każdej placówce, w której nie ma oddziału zakaźnego, powinny być zorganizowane łóżka obserwacyjne, na których pacjenci podejrzani o zakażenie będą mogli poczekać na wykluczenie SARS-CoV-2. Ani Wojewoda, ani tym bardziej Minister Zdrowia nie wiedzą, bo wiedzieć nie mogą, że szpital w Łomży jest swoistym symbolem. Powstał przez wiele lat w trudzie, w ciągłych niedostatkach finansowych, przez lata doskonalono jego funkcjonowanie i pieczołowicie dbano o rozwój. O jego obecnej randze i poziomie świadczonych tu usług zadecydowała tytaniczna praca pokoleń medyków, specjalistów od organizacji służby zdrowia, polityków, samorządowców, ale także często zwykłych mieszkańców. Pozbawienie nas dzisiaj dostępu do fachowej pomocy medycznej ludzie odbierają w kategorii policzka. W imię zatem zwykłej ludzkiej solidarności, pojednania i porozumienia, natychmiastowy zwrot szpitala mieszkańcom Łomży i Ziemi Łomżyńskiej będzie wyrazem sprawiedliwości i gestem dobrej woli wobec tysięcy skrzywdzonych i upokorzonych ludzi.

Łomża, 1 maja 2020 r.

Zarząd Główny
Towarzystwa Przyjaciół Ziemi
Łomżyńskiej



„Założenie 2020) w formie plików cyfrowych w formacie JPG (krótszy bok nie mniejszy niż 2400 pikseli). Prace należy umieścić na nośniku CD lub DVD (opisanym nazwiskiem i imieniem uczestnika) oraz wglądówek w formie odbitek fotograficznych w formacie nie mniejszym niż 13x18 cm. W kategorii „Łomża dawniej” dopuszcza się możliwość przekazania oryginalnych fotografii, które po zeskanowaniu zostaną zwrócone uczestnikowi. Każdy uczestnik może zgłosić po 10 zdjęć w kat. „Łomża dziś” i nieograniczoną ilość starych fotografii w kat. „Łomża dawniej”. Na autorów najlepszych fotografii oczekują nagrody (nagroda główna 1500 zł w kat. „Łomża dziś” plus wyróżnienia oraz w kat. „Łomża dawniej” wyróżnienia po 200 zł). Masz wątpliwość? Dzwon: 603 696 965.

📷 Bartek Kłosiński

W mieście, co było mi rajem

Co Łomża ma w sobie takiego, że została w sercu? Pierwsza dziewczyna? Pierwszy chłopak? Pamiętasz swoje pierwsze młodzieńcze uniesienia? Pamiętasz swoich belfrów? A koleżanki, koledzy ze szkolnej ławki? A może byłeś w Łomży tylko przejazdem i coś pozostało w Twojej pamięci do dzisiaj? Gdzie dzisiaj jesteś, Łomżyniaku? Jak Ci się wiedzie? Co zostało w Twojej pamięci? Bliscy na zabytkowym cmentarzu? Inni Łomżyniacy, z którymi zetknęły Cię losy... Siadaj i opisz to wszystko. W naszym konkursie na wspomnienia czekają na Ciebie piękne i wartościowe nagrody. Na prace oczekujemy do 15 października 2020 roku. Możesz je przesłać pocztą tradycyjną (Zarząd Główny TPZŁ, ul. Sienkiewicza 8, 18-400 Łomża) lub elektronicznie (zgtpl@lomzyniacy.org). Nie ograniczamy ani objętości, ani tematyki. Prosimy jedynie o nie nadsyłanie wierszy. A z całą pewnością mile będą widziane zdjęcia. Informacje: 605 032 526.

📷 Bartek Kłosiński

Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, w porozumieniu z Prezydentem Łomży zapraszają do udziału w konkursie fotograficznym

Założenie

Zależy nam na uwrażliwieniu uczestników i odbiorców na walory naszego miasta. Jest to także pretekst do „założenia się” – zakochania się w Łomży.

Konkurs ma charakter otwarty i skierowany jest do fotografików zawodowych oraz amatorów. Organizowany jest w dwóch kategoriach:

- „**Łomża dziś**” – autorskie fotografie prezentujące krajobraz Łomży i najbliższych okolic, architekturę, wydarzenia będące odzwierciedleniem indywidualnego, kreatywnego spojrzenia na Łomżę;
- „**Łomża dawniej**” – stara fotografia (sprzed roku 1980). W kategorii tej uczestnicy nie koniecznie muszą być autorami zdjęć, lecz muszą posiadać dostęp i prawo dysponowania oryginalną fotografią, negatywem lub slajdem.

Uczestnik, przystępując do konkursu, zobowiązany jest do wypełnienia karty zgłoszenia.

Przystąpienie do konkursu oznacza udzielenie Organizatorom zgody na prezentację fotografii na stronie internetowej www.lomzyniacy.org, podczas pokonkursowej prezentacji, a także w wydawnictwach Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Udział w konkursie oznacza nieodpłatne przekazanie Organizatorowi autorskich praw majątkowych ograniczonych do wyżej wymienionego zakresu oraz działań reklamowych i marketingowych z nim związanych. Na Wasze prace oczekujemy do 15 listopada 2020 r. w siedzibie TPZŁ, ul. Sienkiewicza 8, 18-400 Łomża (w płaskich, usztywnionych opakowaniach, oznaczonych dopiskiem





GABRIELA SZCZĘSNA

Gospodyni Prymasa



Prymas wracał do Zuzeli zawsze jak do własnego domu

Prymasa Tysiąclecia po raz pierwszy zobaczyła na własne oczy w Łomży, podczas uroczystości milenijnych w roku 1966. Stała w tłumie ludzi, słuchała jego przesłania i niespodziewanie pomyślała o swojej siostrze: ona to ma szczęście!

Siostra Walentyna była gospodynią księdza Bolesława Kozłowskiego, ich kuzyna, proboszcza parafii w Andrzejewie. To drugie, po niedalekiej Zuzeli, gdzie się urodził, miejsce bliskie sercu Kardynała Wyszyńskiego. Tu spędził dzieciństwo, tu na cmentarzu spoczywają jego matka i siostra. Z reguły zawsze przyjeżdżał bez zapowiedzi, by pomodlić się przy ich mogile w kościele, gdzie przyjmował Pierwszą Komunię Świętą.

– Był rok 1970. Pewnego dnia moja siostra pojechała na zakupy do Warszawy, a ja do Andrzejewa, żeby zastąpić ją na plebanii – wspomina Władysława Świerdzewska. – Nagle słyszę: „Prymas przyjechał!” Przed kościołem natychmiast zgromadzili się ludzie. Tak było zawsze, bo każdy znał samochód kardynała.

Biegnę i ja z moją trzyletnią wnuczką Beatką. A Prymas odwraca się do niej i pyta: „A ty czyja jesteś?”. Bardzo dobrze znał parafian z Andrzejewa. Jeśli jednak nie kojarzył czyjegoś pokrewieństwa, wcale się tego nie wstydził i z zainteresowaniem słuchał wyjaśnień o rodzinnych powiązaniach. Moja wnuczka odpowiedziała rezolutnie, a ja zapraszam Prymasa na plebanię. A on znowu zwraca się do Beatki: „Ty mnie prowadź, dziecko”. Wzięli się za ręce i ruszają, a ludzie za nimi. Nigdy nie zapomnę tego wzruszającego widoku. Zaczynam krząć się przy posiłku. Odwracam się, a moja wnuczka siedzi na kolanach Prymasa, dotyka jego sutanny i docieka: dlaczego ma czerwone guziki, a wujek czarne. A on z wielką powagą i cierpliwością jej odpowiada.

Nie zdarzyło się, aby w czasie pobytu na plebanii w Andrzejewie kardynał nie usiadł w werandzie. Tu szczególnie lubił wspominać swoje andrzejewskie dzieciństwo... Niebawem Władysława Świerdzewska spotkała się z Prymasem w Andrzejewie, kiedy przyjechał, aby

odprawić mszę świętą z okazji 60. rocznicy śmierci matki. Wracającego do stolicy Prymasa należało odprowadzić do granicy diecezji. Towarzyszący mu wówczas biskup łomżyński Mikołaj Sasinowski i parafianie już szykowali się do drogi, kiedy Prymas powiedział: „Dziękuję wam, kochani, ale jak tylko stąd ruszę, będę miał opiekunów do samej Warszawy”. Wszyscy zrozumieli tę żartobliwą aluzję do śledzących go esbeków.

Zmarła siostra Władysławy Świerdzewskiej. Ks. Bolesław Kozłowski zaproponował, aby teraz ona poprowadziła mu gospodarstwo na plebani.

– Andrzejewo przyzwyczajone było do niespodziewanych przyjazdów Prymasa, ale za każdym razem przeżywaliśmy to spotkanie tak samo: z wielką radością, wzruszeniem. Kto pierwszy dostrzegł jego samochód, natychmiast po-

wiadamiał sąsiadów, a oni swoich. Ludzie rzucaли wszystko i gnali przed plebanię – wspomina Władysława Świerdzewska. – A on zawsze to doceniał i dziękował, że dla niego zostawili pilną pracę w polu, czy zagrodzie.

Ktoregoś dnia znowu ktoś wpada na plebanię z wieścią o przyjeździe Prymasa. „Co to będzie pani Władziu?! Przecież jeszcze do obiadu daleko!”, zamartwiał się wikariusz Adam i pobiegł witać dostojnego gościa. Opanowałam się i mówię: „Zatrzymaj Prymasa na dwadzieścia minut, ale już zapraszaj na obiad!”. Po kilkunastu minutach wchodzi Prymas i zwraca się do księdza Adama: „Czy to ty tak zarządziłeś, że pojadę do Zuzeli później, niż zamierzałem?”. „Nie! To szefowa!” i wskazał na mnie. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Obiad był z tego, co miałam pod ręką: zupa jagodowa, kurczak, kotlety schabowe. Prymas jadł z apetytem i na koniec zwrócił się do mnie: „Nigdy przedtem nie jadłem tak wspaniałej zupy jagodowej. Bardzo dziękuję”. A potem poprosił, żebym usiadła. I rozmawialiśmy w cztery oczy. Właśnie wtedy



W tym domu w Łomży mieszkała gospodyni Prymasa

podarował mi egzemplarz Nowego Testamentu z dedykacją. Nigdy się z nim nie rozstaję. A nasze rozmowy w cztery oczy odbyły się niejednokrotnie. Udzielał mi mądrych rad i podnosił na duchu w różnych sytuacjach. Emanowała od niego dobroć, życzliwość, dostojeństwo i skromność zarazem. To cecha ludzi wielkich.

Zmieniła się gospodyni andrzejewskiej plebani. Władysława Świerdzewska zamieszkała w Łomży. Któregoś dnia wybrała się do Andrzeja z synem, synową i wnukami. A tu niespodzianka: „Prymas przyjechał!”. Była też inna niespodzianka: okazało się, że akurat proboszcz nie ma, a wikariusz odsypia właśnie powrót z męczącej podróży na Śląsk. Co robić?!

– Co prawda nie byłam już gospodynią, ale... Rozgrzewam tłuszcz na patelni, rozbijam jajka... A tu wchodzi Prymas. Rozstawiamy talerze, kroimy chleb. Goście siadają za stołem, zaczynają jeść, a ja myślę, czy jajka ścięły się, jak trzeba. Nagle Prymas z uśmiechem wskazuje pusty talerz i mówi: „Nigdy przedtem nie jadłem tak wspaniałej jajecznicy. Bardzo dziękuję!”. Na pożegnanie podarowała mu słoik miodu z naszej pasieki. Powiedział: „Zabiorę ze sobą do Warszawy i ten andrzejewski smak...”.

– Wtedy spotkałam się z Prymasem po raz ostatni... Było to spotkanie wesołe i wzruszające – wspomina Władysława Świerdzewska – Po posiłku z jajecznicą gospodyni proboszcza poprosiła Prymasa o odprawienie mszy świętej w jakiejś intencji. Wręcza mu pieniądze, a on śmieje się i mówi: „Dopiero proboszcz dałby mi burę, że zbieram pieniądze w jego parafii! Już nigdy nie mógłbym się tu pokazać!”. Na pożegnanie podarował mnie i mojej rodzinie różańce. Na swoim codziennie modłę się za niego i do niego...

Kiedy oglądała film o latach uwięzienia Prymasa, w odtwórcy jego roli widziała nie Andrzeja Seweryna, ale właśnie Stefana Wyszyńskiego.

– Każdemu, kto go poznał, stawał się bliski – mówi. – Miałam to wielkie szczęście spotkać go na mojej drodze życia. Ja, zwyczajna dziewczyna z Tabędza koło Zambrowa.



ADAM DĄBROWSKI

Ks. Jean Crepin z Kamerunu spełnił swoje marzenie w Łomży

Nazywam się Jean Crepin Menguina Nama. Jean to Jan, Crepin to też jest po francusku, a po polsku Kryspin. Menguina Nama to po kameruńsku. Nama po ojcu, a Menguina to od matki nazwiska. Jan brzmi lepiej, bo jak mówię, że jestem Jean, to wszyscy mi się przyglądają. A jak powiem: Jan, to od razu mówią: „to po polsku, więc on jest nasz”. I ludzie od razu patrzą inaczej.

Kamerun ma 240 dialektów. To bardzo dużo, więc jest problem. Na przykład u nas w domu, kiedy mama coś mówiła, to tata nie rozumiał. Bo to był inny dialekt. Dlatego w domu wszyscy porozumiewaliśmy się tylko po francusku albo po angielsku.

Kamerun ma 60 proc. katolików, 15 proc. muzułmanów i 10 proc. protestantów, a reszta to jest – mogę powiedzieć – religie naturalne, plemienne. Mimo, że Kościół u nas jest bardzo młody, bo ma dopiero 150 lat, podczas gdy w Polsce już ponad 1050, to powołań mamy więcej teraz. I to jest paradoks. Można powiedzieć, że to eksplozja wiary. Ludzie wstępują do seminariów w Kamerunie. Może dlatego, że rodzina jest zawsze liczna. Na przykład u nas w domu jest nas siedmioro dzieci, więc duża rodzina, bardzo liczna.

Mój najstarszy brat w niedzielę był zawsze na mszy. Ja czasami byłem, a czasami nie. I rodzice zawsze mówili, że to mój brat będzie

księdzem, a ja albo dziennikarzem, albo lekarzem. Bo ja nie byłem nawet ministrantem, jak mój pobożny brat. I kiedy w niedzielę on szedł do kościoła, ja grałem w piłkę, bo mówiłem, że **może będę piłkarzem**, bo grałem w piłkę codziennie... Ale widocznie Pan Bóg chciał inaczej. Bo powołanie jest inicjatywą samego Boga, a kapłan jest przez Niego posłany do ludzi.

Kiedy już miałem pragnienie, że chcę być księdzem, to była moja tajemnica. Nie rozmawiałem o tym ani z tatą, ani z mamą, ani z kolegami. **To była moja tajemnica.** To zaczęło się na rekolekcjach, kiedy poczułem, że chcę być księdzem, że chcę wstąpić do seminarium.

Ale to cały czas jeszcze była tajemnica. Już później, podczas spotkania z proboszczem naszej parafii, spytałem go jaka jest różnica między modlitwą i monologiem? Czy w ogóle jest różnica? Proboszcz popatrzył na mnie uważnie, spytał o imię i mówi: „Jutro zapraszam na kawę”. Trochę się przestraszyłem, że coś złego narobiłem, że mam sam przyjść na rozmowę na plebanie, ale pojechałem. I wtedy od proboszcza usłyszałem: „Uważam, że będziesz dobrym kapłanem. Nie bój się”. I to było takie dziwne, bo przecież nikt nie wiedział, że ja miałem już takie pragnienie. To była moja tajemnica. Sekret. A proboszcz powtórzył: „Nie bój się, na pewno **będziesz dobrym kapłanem**”.

Po maturze wstąpiłem do seminarium.

U nas to jest inaczej, bo to jest aż dziewięć lat. Po pierwsze mamy cały rok propretyczny, kiedy kleryk zastanawia się „Czy mam być księdzem, czy nie? Czy warto być księdzem, czy nie? Kim jest kapłan i co on ma robić?”. Tutaj, w Łomży „propretyka” to jest miesiąc, a u nas przez rok zastanawiasz się czy to jest dobra droga dla ciebie. I to trwa rok. A potem przez trzy lata jest filozofia. To jest licencjat, po którym idziemy na rok na parafię. W Polsce tego nie ma. To jest taka próba, bo w Kamerunie biskupi uważają, że inaczej kleryk czuje się w seminarium, a inaczej na parafii.

W seminarium jest grupa: wszyscy wspólnie chodzą na wykłady, na posiłki... A na parafii jest sam. I proboszcz ma okazję sprawdzić

czy coś z nim jest nie tak. Jeśli opinia jest pozytywna, kleryk wraca do seminarium na cztery lata, po których ma święcenia diakonatu i znowu na rok jest kierowany na parafię. To jest dla niego taka praktyka i jeżeli opinia proboszcza jest znowu pozytywna, masz święcenia prezbiteratu. To w sumie jest nawet dziesięć lat. Ale czas naprawdę weryfikuje czy ktoś ma prawdziwe powołanie, czy nie.

Podobnie jest u nas ze ślubami. Wiadomo, że Kościół krytykuje, że u nas mężczyzna z dziewczyną żyją razem, a czasem nawet mają dzieci bez ślubu. Ale oni w tym czasie się obserwują i dopiero jak mają po 35-40 lat, biorą ślub. Ale co jest może paradoksalne, takie małżeństwa są ze sobą do śmierci. Ludzie u nas nie rozumieją, że są rozwody, że jak jest problem, to idą do sądu... Nie. Takich rzeczy nie ma. Wiadomo, że Kościół to krytykuje, że żyją w konkubinacie. Są nieślubne dzieci – Kościół krytykuje. Ale ludzie mówią, że lepiej najpierw się dobrze poznać. Ślub biorą dopiero wtedy, gdy naprawdę są do tego gotowi. Ale wiedzą, że ślub jest do śmierci, bo mówiłeś wobec Boga, że „chcemy być razem czy będzie ciężko, czy będzie coś nie tak – aż do śmierci”. Tak samo jeśli ktoś jest kapłanem, to też aż do śmierci. Nie ma, że ktoś rezygnuje, że ma jakieś problemy. Nie, **aż do śmierci**.

Ja mam już za sobą prawie dziewięć lat seminarium. Najpierw robiłem rok propretyczny, trzy lata filozofii, rok na parafii i przyjechałem

tutaj. Tak Pan Bóg chciał. Byłem na parafii, gdzie opiekowałem się dziećmi w internacie. To było prawie 120 uczniów gimnazjum i liceum, którymi trzeba było zajmować się już od rana, więc nie było łatwo. I na zakończenie tego roku, to było w maju, biskup mi mówi: „Proszę się przygotować, bo jedzie ksiądz do Polski”.

Ja nawet **nie wiedziałem, gdzie jest ta Polska**. Wiedziałem przede wszystkim, że Jan Paweł II jest Polakiem, jest siostra Faustyna, ale to było wszystko.

Przyjechałem do Łomży w listopadzie i miałem krótkie spodnie, jak w Kamerunie. Śnieg wcześniej widziałem w telewizji, ale nie wiedziałem, że tu jest aż tak zimno. U nas jest cały czas albo lato, albo pada deszcz. A tu od razu na lotnisku tak zimno. I mówię: „O mój Boże gdzie ja jestem? Co się dzieje ze mną?” Dopiero musiałem zrozumieć, że tutaj czasami jest zima, a czasem lato.

W Łomży wszystko zaczynałem od zera. Dużo czytałem, wiedziałem że muszę dużo rozmawiać. Ja mówię po francusku, po angielsku, po hiszpańsku, ale język polski to jest zupełnie coś innego. Ale chyba idzie mi całkiem dobrze. I cały czas uczyłem się czegoś nowego. Kiedy pierwszy raz byłem na roratach, to nie rozumiałem o co chodzi. U nas tego nie ma. Zresztą nigdzie, bo to jest tylko polskie. Tak samo post. W Kamerunie jest post w piątek, ale to polega na tym, że każdy rezygnuje nie





z mięsa, ale z tego co najbardziej lubi. Jest więc piątek bez telefonu, albo bez telewizora, albo czegoś innego się człowiek tego dnia wyrzeka. Bo u nas jest cały czas lato i rezygnacja z mięsa nawet przez tydzień nie jest żadnym wyrzeczeniem. Więc piątek bez mięsa nie ma żadnego znaczenia. Lepiej, żeby każdy zrezygnował na cały dzień z tego, co najbardziej lubi. W Polsce ludzie są bogaci, ale cały czas są smutni. Nie wiem dlaczego. Bo w Afryce jest bieda, ludzie są biedni, ale są szczęśliwi. Tu ludzie narzekają, jak im jest źle, jak źle... A trzeba cieszyć się i mówić codziennie „Panie Boże dziękuję; może nie jest tak dobrze, jak bym chciał, ale dziękuję za to co mam”. I wtedy człowiek jest szczęśliwy.

Kościół w Polsce też jest smutny.

U nas ludzie tańczą w kościele. Na przykład „Chwała na wysokości Bogu” powinno się tańczyć, bo to jest radość. Tylko u nas to się śpiewa w innym rytmie, łatwiej wtedy tańczyć. W Polsce wszyscy są tacy bardzo poważni, natomiast u nas wszyscy są bardziej radosi. Jest też u nas procesja z darami. Bo kiedy jest taca, każdy musi coś ofiarować, ponieważ od Boga dużo dostajemy. I wszelkie łaski, i pracę, i wszystko... Dlatego misjonarze nauczyli nas, że kiedy jest msza, to każdy musi coś ofiarować. Pieniądze, albo jakiś dar: krokodyla, albo małpę, albo antylopę, czy węża boa. To polecam, bo jest bardzo smaczny. Może być też ryż, pataty, czy

awokado. W związku z tym najpierw jest taca i kto ma, daje pieniądze, a potem jest procesja z darami. Każdy daje co ma i to jest najważniejsze. Pan Bóg wie, że nie mam pieniędzy, więc daję co mam. Poza tym msza trwa dwie godziny, a przynajmniej półtorej. Bo przecież kiedy ludzie się spotykają ze sobą i rozmawiają przy kawie, to spędzają razem dwie, a nawet trzy godziny. A kiedy kapłan mówi kazanie 15 minut, to już marudzą, że za długo. Kiedy chłopak kocha dziewczynę, to najchętniej byłby z nią cały czas, bo to jest miłość. Tak samo jeśli jest miłość między człowiekiem i Bogiem, jesteśmy długo na mszy. Nawet te dwie godziny i ludzie to lubią.

Albo jak jest pogrzeb – w Polsce to tylko godzina i każdy wraca do siebie. A w Kamerunie pogrzeb to jest cały dzień. Ludzie od rana siedzą, rozmawiają... To jest spotkanie. I dopiero o godz. 15.00 jest msza, a dwie godziny później ludzie wracają do swoich domów.

Wiadomo – to jest też inna kultura. Jest nawet takie powiedzenie, że w Europie ludzie mają zegarki, ale w Afryce ludzie mają czas.

Przedemną jeszcze obrona pracy magisterskiej, potem studia doktoranckie i później wracam. U nas w Kamerunie też jest dobrze. Może jest bieda, ale jest praca, więc jest dobrze. Złoto ludzie mają, diamenty ludzie mają, cały czas jest lato, więc pomidory, awokado, papaje są cały czas. Więc wróć jeśli Pan Bóg pozwoli.

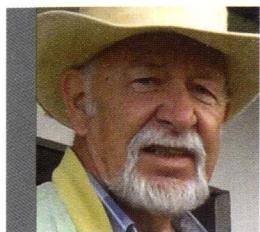
Nie wiem co będzie, bo to jest powołanie i to Bóg kieruje. **Może będę męczennikiem?** Bo kto mówi, że chce być księdzem, musi być gotowy na krzyż. Nie wiem kiedy to będzie, może już jutro? To może być choroba, a może cierpienie, jak u Jezusa, który głosił Ewangelię, mówił o prawie, ale na końcu czekał go krzyż. Więc kto chce być księdzem, musi być także na to gotowy.

Najważniejsze, że **spełniło się moje marzenie**, żeby być kapłanem. To jest najważniejsze. Natomiast jeśli Pan Bóg będzie chciał inaczej, mogę być i biskupem, ale to nie jest najważniejsze. Jeśli ktoś ma taki cel, że jest kapłanem, a chce być biskupem, będzie przez całe życie nieszczęśliwy. Najważniejsze to być księdzem i głosić Ewangelię. A gdzie i kim będę, to i tak Pan Bóg zadecyduje. Ufam, że zadecyduje dobrze dla mnie. A dla mnie najważniejsze jest być szczęśliwym w życiu i robić to, co się naprawdę lubi.

* * *

Jean Crepin Menguina Nama z Kamerunu, pośród dziewięciu innych diakonów z Wyższego Seminarium Duchownego w Łomży, śluby wierności kościołowi i celibatu, złożył 12 maja 2018 r., na ręce ordynariusza diecezji łomżyńskiej, ks. bpa Janusza Stepnowskiego.

ADAM DĄBROWSKI



EDWARD JACKOWSKI

Państwowe Technikum Weterynaryjne w Łomży w latach 1954–1959: „Wśród nas było wielu bardzo przystojnych, na widok których niejednej młodej damie szybciej biło serduszko (...)

Wygrzebane z zakamarków pamięci (1)

Gdy w 1954 roku po raz pierwszy przekroczyłem progi budynku, miałem 13 lat. Byłem drugim rocznikiem technikum, przyjętym na podstawie świadectwa ukończenia siedmioletniej szkoły podstawowej oraz po zdaniu egzaminów wstępnych. W takim wieku wyboru szkoły dokonują zazwyczaj rodzice, ja nie miałem na to żadnego wpływu, chociaż marzyła mi się Szkoła Jungów. Ale nie żałuję. Wiedza zdobyta w tej *Alma Mater Veterinarenensis*, przekazana przez oddanych nam profesorów, okazała się bardzo przydatna w późniejszym życiu.

Państwowe Technikum Weterynaryjne mieściło się w budynku, który w czasach zabiorów zajmował gubernator łomżyński. Budynek ten mieścił się przy zbiegu ulic Szosowej i Nowogrodzkiej. Od 1957 roku stoi przed nim pomnik Stacha Konwy. Jego autor, pan Lörinczy, świadomie czy nie tak zaprojektował swoje dzieło, że zaciśnięta pięść kurpiowskiego bojownika o wolność wyciągnięta była w kierunku domu partii.

Do technikum wchodziło się po schodach od strony pomnika, ale najczęściej, chyba od

1955 roku, od strony podwórka. Przy wejściu zawsze ciepło witał nas woźny – niezapomniany pan Jurczyk. Wyglądał jak stary wiarus z obrazów Kossaka: sumiasty, ostro podkreślony do góry, zażółcony tytoniem wąs, siwe, zawsze starannie podstrzyżone włosy i dobrotliwe oczy, w otoczeniu pajęczyny zmarszczek. Wielki dzwonek na drewnianej rączce w wielkiej dłoni pana Jurczyka słyszalny był zawsze bez opóźnień, obwieszczając koniec lekcji lub przerwę. Ciekawiła nas jego historia, szczególnie okres służby w carskiej armii, ale czasem tylko



W tym narożnym budynku w latach 1950–1960 mieściło się Państwowe Technikum Weterynaryjne w Łomży

niektórym starszym kolegom przekazywał co nieco ze swoich wspomnień z tych czasów.

Budynek nie był przystosowany do pełnienia funkcji szkoły. Ze zwykłych pokoi zrobiono sale wykładowe. W niewielkiej sali, w ławkach niegdzieliśmy się po dwóch a nawet po trzech. Czarny, cuchnący pyłochłon, pokrywający drewnianą podłogę, drażnił nozdrza. Gdzie wieszaliśmy zimowe okrycia? Nie pamiętam, ale chyba na wieszakach na korytarzach. Najgorzej było zimą lub po jesiennych pluchach. Zmoczona ubrania i przemoczona buty parowały w cieple wielkiego, kaflowego pieca stojącego w kącie sali. Można sobie wyobrazić kompozycję zapachów: pyłochłonu, parujących butów i odzieży w cieple zatłoczonej sali.

Na salę gimnastyczną w 1955 lub w 1956 roku zaadaptowano pomieszczenie gospodarce w budynku na podwórku. Latem lekcje WF-u, prowadzone przez magistra Kuleszę (absolwenta łomżyńskiego liceum), odbywały się albo na podwórku szkolnym, albo na boiskach starych burs przy ulicy Stacha Konwy. Rolę toalety spełniała znajdująca się w rogu podwórka publiczna ubikacja, z której korzystali także mieszkańcy pobliskiej kamienicy.

W tym czasie wprowadzono do szkół średnich pewne obowiązkowe elementy stroju: dla chłopców czapki, dla dziewcząt bereciki, a potem także obowiązek noszenia na rękawie tarcz szkolnych. Miało to służyć łatwiejszemu rozpoznawaniu uczniów wędrujących się po ulicach po godzinie dwudziestej. Uczniowie powinni się uczyć, dlatego wieczorami można było spotkać na ulicach tak zwane „trójki szkolne”, składające się z nauczycieli szkół średnich.

Uczniowie technikum weterynaryjnego nosili czapki podobne do czapek studentów akademii medycznych: czerwone z zielonym otokiem. Czapka zazwyczaj służyła przez cały, pięcioletni okres szkoły. W piątej klasie była to już czapka weterana: wyblakła, tak wypalona przez słońce, że jej właściwy kolor wyszukać można było jedynie w zagięciach od wewnątrz. Teksturowy daszek, od częstego ukrywania czapki w kieszeniach, był złamany i aby się nie rozpoławał musiał być zszyty w jednym miejscu nitką.

Uczniowie ogólniaka, podobnie jak liceum pedagogicznego, nosili czapki koloru granatowego, technikum handlowe – zielone, technikum przemysłu drzewnego – brązowe. Podobnie dziewczęta nosiły bereciki z wypustkami: ogólniak – czerwone, „pedagoga” – niebieskie, „handłówka” – zielone.

Patrząc na współczesną młodzież licealną, a mieszkam obok liceum ogólnokształcącego, nie wyobrażam sobie, aby tak ubrane

i wymalowane dziewczęta, jakie widuję obecnie, pokazały się w szkole w tamtych czasach. Uczennica szkoły średniej ubierała się skromnie i schludnie: proste uczesanie, najczęściej w warkoczyki, granatowy fartuszek i biały kołnierzyk. Dyskretnie podmalowanie i swobodna fryzura z przymrużeniem oka traktowane było przez profesorów jedynie z okazji półmetka lub balu szkolnego w karnawale, lecz na takim balu obowiązywała granatowa spódniczka i biała bluzeczka. A wszystko to pod czujnym okiem profesorów.

Ach, co to były za bale! My z „wety” – typowo



wo męskiej szkoły, zapraszani byliśmy na bale szkolne do szkół żeńskich, w których liczniejsze było grono dziewcząt niż chłopców: do ogólniaka, „pedagoga” czy „handłówki”. Delegacja dziewcząt z tych szkół przychodziła z zaproszeniami do naszej dyrekcji. Miało być dyskretnie, lecz już wcześniej wiadomo było, kto przyjdzie i kiedy. Następowo gorączkowe oczekiwanie na odpowiedź dyrekcji: zezwół czy nie? Profesor Michalczyk prawdopodobnie już w domu był „urabiany” przez córeczkę Krysię i z tej strony należało się spodziewać dyskretnego poparcia. I najczęściej tak było. A potem przygotowania, szykowanie garniturów, wizyta u fryzjera i niecierpliwe oczekiwanie na bal. A na sali gimnastycznej wywoskowana podłoga, orkiestra na podwyższeniu, tłumek biało-granatowych dziewcząt po jednej stronie sali i na granatowo ubranych, w odświętnych garniturach, chłopców – po drugiej stronie. W powietrzu zapach dyskretnie podkradanych mamusiom perfum i wód toaletowych. Chłopcy z ogólniaka, zebrani oddzielnie, zazdrośnie przyglądali się „koniarzom”, jak nas przezywano. Mieli o kogo być zazdrośni, wśród nas było wielu bardzo przystojnych, na widok których niejednej młodej damie szybciej biło serduszek.

Nie potrafię z pamięci odtworzyć wszystkich uczniów z mojej klasy. Wtedy przeniesiono do Łomży uczniów ze zlikwidowanych techników weterynaryjnych w Puławach i Suwałkach. Była to szkoła wybitnie męska, chociaż nie było

zakazu dla dziewcząt. Kilka z nich, niczym roźdzynki w cieście, stanowiło jej ozdobę: drobniutka Tereska Golińska, Krysia Grądzka, Zosia Romej, Stasia Pisowadzka czy też łomżynianki Jadzia Keller i Zosia Charubin.

Lata pięćdziesiąte to były czasy, gdy pojawiały się już pierwsze oznaki zachodniej, dekadencjonalnej kultury młodzieżowej: bikiniarskie ubiory, szalony big beat. Budziło to szczególne zainteresowanie łomżyńskiej młodzieży. Gdy po październiku 1956 roku przyjechał z Warszawy zespół „bigbitowy” i dał koncert w sali kina „Październik”, młodzież szalała. Gwizdy i piski, a nad głowami wirowały marynarki, niesamowity szal ogarniał wszystkich. Cóż to był za występ!

Taką modą zaraził się jeden z kolegów z mojej klasy – Józef Grejdus. Do szkoły przychodził ubrany tak jak wszyscy uczniowie, lecz po lekcjach pojawiał się na ulicach w stroju bikiniarza: fryzura z obowiązkowym loczkiem, fajeczka, z której sterczał do góry wetknięty papieros, szeroka, z wypchanymi ramionami marynarka w kratę. Spodnie wąziutkie, tak zwane „dętki” i na tyle krótkie, by widoczne były jaskrawo kolorowe skarpetki. Do tego szalony, kolorowy krawat, na którym namalowane były gołe panienki pod palmami. Skrzypiące buty, przynajmniej trzy razy szyte, na grubej słoninie, uzupełniały strój bikiniarza.

Szkoły średnie stanowiły doskonale zaplecze dla klubów sportowych, a przede wszystkim dla Łomżyńskiego Klubu Bokserskiego, prowadzonego przez pana Wasilewskiego. Z ogólniaka najbardziej znanym bokserem był Euzebiusz Ciborowski, natomiast z mojej szkoły muszę wymienić uzdolnionych bokserów: Janka Peszko, Janka Puściana czy też Łapińskiego. Z młodszego rocznika dobrymi bokserami byli Janusz Krutelewicz i Romek Gregorowicz. Oba spotykałem potem na uczelni w Olsztynie. Pierwszy krok na ringu stawiał też Heniek Ogrodnik z ogólniaka. Miał talent, lecz wybrał piłkę nożną, którą uprawiał amatorsko na studiach.

Ale nie tylko sport cieszył się zainteresowaniem łomżyńskiej młodzieży. Pewnego dnia w czasie lekcji otworzyły się drzwi i do klasy wszedł dyrektor Wiśniewski w towarzystwie po cywilnemu ubranego tajniaka. Konsternacja. Wszyscy, jak przystało, powstali z miejsc, a dyrektor popatrzył po twarzach i surowym głosem powiedział: „Dąbrowski! Do wyjścia!” Siedzący w ostatniej ławce Janek Dąbrowski zbłądł i posłusznie poszedł za dyrektorem i tajniakiem.

Otóż wśród młodzieży szkół średnich powstawały konspiracyjne, patriotyczne struktury, przeciwne władzy ludowej. Były one obiektem represji ze strony komunistycznego aparatu

władzy. Do jednej z takich organizacji należał Dąbrowski Janusz, a nie Jan. Janusz był w klasie o rok niżej. Oczywiście pomyłka została szybko odkryta, Janka wypuszczono, a do aresztu zabrano Janusza. Areszt mieścił się bliźniutko, w budynku komendy milicji obok Ogrodu Spacerowego. Po aresztowaniach wszystkich członków organizacji (uczniów głównie z ogólniaka, a także „pedagogi”) w Łomży zawierało: chcieli wysadzić w powietrze dom partii – powtarzano z ust do ust.

Na pierwszym roku w technikum było nas, o ile dobrze pamiętam, pięćdziesięciu siedmiu. Nie wszyscy dotarli do matury, a ci, którzy to osiągnęli, rozpuścili się gdzieś po świecie. Czasem po przyjeździe do Łomży dowiadywałem się o losach tych, którzy zniknęli z mojego pola widzenia. Jurek Kierażyński ukończył prawo, pozostał w Łomży. Łomżyniakom chyba nie trzeba przedstawiać jego sylwetki. Stefan Dzierżak, obiekt westchnień licealistek, w stopniu porucznika przez wiele lat był dowódcą warty przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Ryszard Nasiadko wybrał karierę wojskową, Zbyszek Łopuszański studiował geodezję w Olsztynie, Jurek Anczewski w Paryżu, Janek Chojnowski jeszcze w czwartej klasie wyjechał do Australii, Janusz Lipski wybrał karierę oficera marynarki wojennej. W Łomży pozostali Zdzisiek Jakuć, Kazik Morze, Maciej Bielicki, Janek Szlis. Nie wiem, co stało się z pozostałymi łomżyniakami: Zdzisławem Cwaliną, Jurkiem Dolinkiewiczem, Janem Dąbrowskim, Czesławem Kamińskim, Januszem Kozłowskim czy Henrykiem Malinowskim...

Uczniowie zamiejscowi, a ci stanowili większość, mieszkali w drewnianym baraku przy ulicy Stacha Konwy. W 1957 roku przenieśli się do nowo wybudowanego przy tej samej ulicy internatu. Niektórzy dojeżdżali do szkoły z Nowogrodu, Mątwy i Kupisk kolejną wąskotorową, tak zwaną ciuchcią. Koleją dojeżdżali uczniowie ze Śniadowa i Kozik. Podziwiałem Ryśka Nasiadko, dojeżdżającego rowerem czternaście kilometrów z Mątwy. Ja miałem blisko, bo z Nadnarwiańskiej. Czasem podczas długiej przerwy biegałem do domu na drugie śniadanie – najczęściej była to kromka chleba z pomidorem zerwanym z krzaka. Ale co to były za pomidory, jaki zapach i smak!

Podwórko szkolne od strony ulicy Nowogrodzkiej służyło nam za boisko sportowe, a przed lekcjami było miejscem zbiórki. Tutaj odbywała się obowiązkowa tak zwana „prasówka”. Całe szczęście, że tylko przy dobrej pogodzie. Ustawialiśmy się w czworoboku, przed nami zbierało się grono nauczycielskie. Po odśpiewaniu międzynarodówki aktywiści ZMP odczytywali z „Trybuny Ludu” lub „Sztandaru Młodych” aktualności z kraju i ze świata. Dominowały tematy: wojna w Korei, Tito, stonka ziemniaczana, którą imperialiści amerykańscy

z nienawiści do osiągnięć socjalistycznej władzy rozsiewali nad polskimi polami. Prelegentami byli czołowi aktywiści ZMP: Tadek Tomaszewski i Edek Jakubowski. Obaj ze starszej klasy, rozpoczynali naukę w 1953 roku. Na wzór radzieckich komsomolców ubrani byli w ciemne spodnie, zielone koszule i czerwone krawaty. Staliśmy wtedy w milczeniu, słuchając i jednocześnie obserwując spóźnialskich uczniów ogólniaka, śpieszących ulicą Nowogrodzką. Przeważnie były to te same osoby. Nie wiem, jak ich spóźnienia były tolerowane w szkole.

Nie było plecaków, teczek, chyba że uszyte przez matki. Ja pakowałem książki i zeszyty do teczek biurowych. Wypchane ledwo mieściły się pod pachą. Pióro i ołówki nosiłem w kieszeni. Tak wyekwipowany, uważając by niczego nie zgubić po drodze, zasuwałem do szkoły ulicą Wiejską lub Bernatowicza. Gdy było ciepło, a okna w mijanych domach były uchylone, mogłem wysłuchać aktualnych wiadomości, nadawanych przez głośniki, tak zwane „toczki”, które w ramach tak zwanej radiofonizacji kraju instalowane były w każdym mieszkaniu. Były to zwykłe głośniki z jednym pokrętelem potencjometru, który najczęściej nie dawał się wyciszyć i chcąc czy nie chcąc, w dzień i w nocy, trzeba było słuchać tego, co nadawano. Dlatego, przechodząc przez miasto, można było wysłuchać całych, aktualnie nadawanych audycji: gimnastykę poranną, którą przy akompaniamencie fortepianu prowadził Karol Hoffman oraz „Muzykę i aktualności”. „Wielki Brat” eksperymentował w Łomży według Orwella. Był w każdym domu. Niektórzy podejrzewali nawet, że mogą być przez te głośniki podsłuchiwanie. Radioodbiorniki były jeszcze rzadkością, a audycje z „Wolnej Europy”, „Głosu Ameryki” czy „Radio Tirana” – były zagłuszane.

Nauka w technikum nie była łatwa. Oprócz podstawowych przedmiotów ogólnokształcących, takich jak język polski, język rosyjski, matematyka, fizyka, chemia, botanika, zoologia, historia, wiadomości o Polsce i świecie współczesnym, geografia gospodarcza, przysposobienie wojskowe i wychowanie fizyczne, były przedmioty zawodowe, przystosowane do aktualnych potrzeb gospodarki rolnej w zakresie leczenia chorób i hodowli zwierząt gospodarskich. Były to takie przedmioty, jak anatomia, fizjologia zwierząt, hodowla, higiena zwierząt, choroby inwazyjne, zakaźne, wewnętrzne, położnictwo, choroby kończyn, chirurgia, mięsoznawstwo, farmakologia, organizacja służby weterynaryjnej, uprawa roślin, organizacja gospodarstw rolnych, zajęcia praktyczne, a po 1956 roku – religia.

Dokończenie w następnym wydaniu

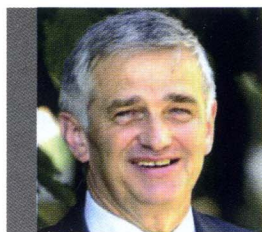
Porzekadło uzależnia punkt widzenia od punktu siedzenia. W ujęciu historycznym to bardziej skomplikowana materia, o czym chcę Państwa przekonać na niniejszym przykładzie. A wszystko zaczęło się od odbitki fotograficznej nadesłanej przez Redaktora Naczelnego „Wiadomości...”, łaskawego zresztą.

Tytuł czołówki organu prasowego Socjalistycznej Partii Niemiec „Vorwärts” (Naprzód), z datą 11 sierpnia 1915 r., (na zdjęciu obok) bije w oczy – „Twierdza Łomża (Łomza) wzięta”. Mało co się tu zgadza. Po pierwsze, nie było już twierdzy Łomża, bo w 1909 r. została przez Rosjan skasowana, a nigdy nie została zrealizowana w całości, jako okrężna. Po drugie, Łomża w sierpniu 1915 r. została przez wojska carskie opuszczona bez walk, te miały natomiast miejsce na odległych przedpolach, między innymi w rejonie Nowogrodu, Małego Płocka i Jedwabnego. Prawdą jest natomiast, że od Wielkiej Środy (przedwielkanocnej) miasto było bombardowane z użyciem samolotów (aeroplanów) i sterowców (zeppelinów), a od końca lipca ostrzeliwane przez działą dalekiego zasięgu.

W tym miejscu z zaskoczenia podam kilka faktów, które wymazano z pamięci Łomżyniaków. Miasto w pierwszych dniach sierpnia 1915 r. liczyło – jak sądzę (dokładne dane są z 21 VIII) – mniej niż 15 tys. stałych mieszkańców i do 2 tys. uciekinierów. Zdecydowanie przeważali Żydzi (60% wśród stałych i ponad 80% wśród uciekinierów), bo liczni chrześcijanie schronili się u krewnych i znajomych na terenie wsi. Panoszyli się żołnierze carscy, rabując i szukając dziewczek, a przez szpitale i lazarety łomżyńskie przewinęło się kilkanaście tysięcy rannych, zaś około 1200 zmarłych, pochowano na cmentarzu (zapewne wojskowym), o czym nie ma nigdzie żadnej wzmianki. Mało pewnie kto zainteresował się i mijanymi podłomżyńskimi cmentarzami polowymi, zwanymi niezbyt fortunnie niemieckimi, bo pochowano tam również poległych żołnierzy rosyjskich, a wśród wszystkich pogrzebanych znaczny procent stanowili Polacy w obcych mundurach.

W propagandzie niemieckiej (socjalistyczne „Vorwärts” jednak cieszyło się z sukcesów wojsk cesarza Wilusia II), wyolbrzymiano liczby przeciwników wziętych do niewoli, a w propagandzie rosyjskiej pisano o uporczywych walkach obronnych, rzadziej o planowych odwrotach (przykładem tekstu w „Gazecie Białostockiej”, wydawanej w sierpniu 1915 r., w jęszce rosyjskim Białymstoku).

We wspomnianym artykule prasowym wymieniono dowódcę 8 Armii niemieckiej. Oddziały 8 Armii, dowodzonej przez gen. artyllerii Friedricha von Scholtza, weszły do Łomży w nocy 11 sierpnia 1915 r. o godz. 1. Przy blasku księżycy skończył się ponadwiekowy zabór rosyjski w Łomży. Mieszkańców ucieszyła głównie cisza, a Niemców bali się o wiele bardziej niż Rosjan. W najnowszej (2018 r.) monografii



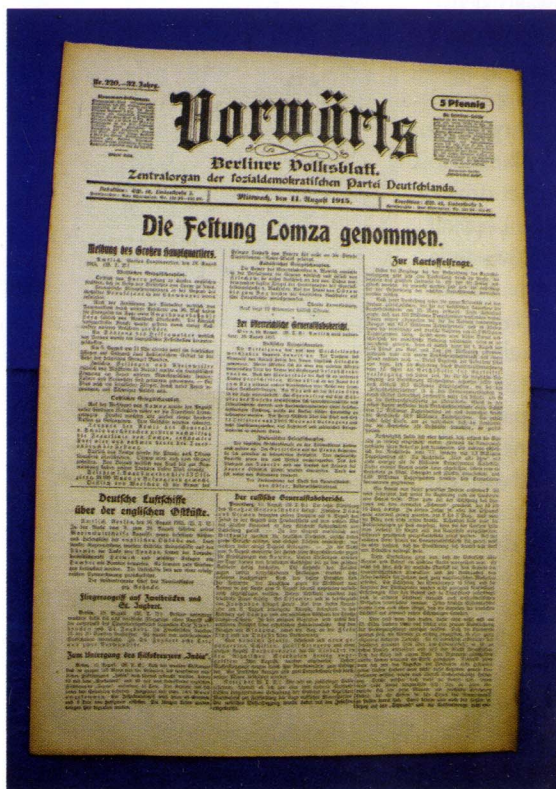
PROF. ADAM CZESŁAW DOBRÓŃSKI

Historyczny punkt widzenia

Łomży nie wspomniano ani słowem tego dziejowego wydarzenia, zaczynając nową epokę dopiero w listopadzie 1916 r. od przyjazdu do Łomży polskich legionistów. Za to w wydanej przez kilkoma miesiącami *Księdze pamięci gminy żydowskiej* w Łomży autor moment przełomowy spuentował następująco: Niemcy podeszli do magistratu „... i zażądali, aby wydano im klucze do miasta. Kiedy nic nie znaleziono, poprosili o symboliczny klucz i przekazano im, jak zaświadczyło kilku milicjantów [ówczesnych, łomżyńskich], klucz od szaletu”.

Idę w zakład, że ze wszystkich podanych w tym felietonie faktów i przyczynków, najdłużej zapamiętany zostanie ... klucz od szaletu.

PS. Na poważnie trzeba uściślić kalendarz wkraczania wojsk niemieckich do Łomży w dniu 11 sierpnia 1915 r. W. Świderski podał godzinę 1. w nocy i ją powtórzyłem w swej monografii miasta. Dzięki ustaleniom dr. Jom-Tow Lewińskiego (*Księga pamięci...*) należy przyjąć, że „w połowie nocy” pojawiła się forpocztą niemiecka, przetłumaczona w *Księdze* jako „oddział straży”. Dwie – trzy godziny później wkroczył według tego samego źródła batalion niemiecki i „zakwaterował się w domach”. W cytowanym zaś numerze „Vorwärts” znalazł się zapis: „Oddziały Armii generała von Scholtz zaatakowały i przedarły się przez linię frontu wczoraj [10 VIII] po południu i dziś o świcie zajęły twierdzę”. Zatem nie ulega wątpliwości, że ostatnie oddziały rosyjskie wycofały się z Łomży 10 sierpnia (przed północą), rozpoznanie niemieckie dotarło do miasta

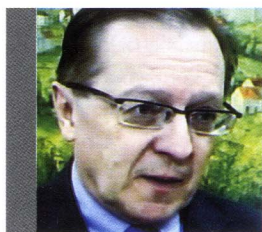


około godz. 1 (niewiele później), a pierwszy batalion frontowy wkroczył do centrum (bez walk) wczesnym rankiem 11 sierpnia (środa). I wówczas zakończyły się definitywnie w Łomży rządy zaborców rosyjskich.

www.lomzyniacy.org

spotkania z historią

strony
13-22



DR JERZY JASTRZĘBSKI

Rembielin (2)

Rodzina Rembielińskich składająca się z siostry, dwóch braci rodzonych i dwóch braci przyrodnych, wiele zawdzięczała Rajmundowi. Siostra Ewa urodzona w 1776 roku wyszła w 1804 roku za mąż za Stanisława Skarżyńskiego, syna podkomorzego łomżyńskiego, zmarła w 1834 roku. Rodzeni bracia Rajmunda – Wiktor i Andrzej rozpoczęli karierę u jego boku. Brat Andrzej urodzony w 1779 roku, od 1810 roku piastował urząd radcy departamentu łomżyńskiego. Uchodził za skąpca i oryginała, a zarazem

za człowieka wykształconego, miłośnika ogrodów, róż i drzew owocowych. Właściciel Sieburczyzna zmarł bezżenny w 1846 roku.

Najmłodszy brat, Wiktor urodził się w 1783 roku. Studiował w Królewcu, był uczniem Immanuela Kanta. Prezes trybunału łomżyńskiego w 1813 roku, a następnie w 1825 roku prezes trybunału augustowskiego. 30 listopada 1824 roku powołany został na senatora – kasztelana Królestwa Polskiego. W tym samym roku został skierowany do pracy

w Sądzie Najwyższej Instancji Królestwa Polskiego. Zasiadał w Delegacji Indagacyjnej Sądu Sejmowego w latach 1828-1829, gdzie wykazywał dużą niezależność opinii. Na posiedzeniu sejmku 18 grudnia 1830 roku Wiktor Rembieliński powiadomił izbę poselską o jednomyślnym przyjęciu przez senat uchwały o powołaniu gen. Józefa Chłopickiego na urząd dyktatora. Nie wziął udziału w posiedzeniu sejmku 25 stycznia 1831 roku, gdy obie Izby uchwaliły detronizację Mikołaja I, ale akt detronizacji podpisał. 2 lutego 1831 roku został powołany przez Rząd Narodowy na ministra sprawiedliwości. W licznych sporach natury prawnej dał się poznać w sejmie jako konstytucyjny liberał i zwolennik wolności druku. Z ramienia Rządu Narodowego popierał w izbie poselskiej projekt oczyszczania włościan w dobrach narodowych. Ze stanowiska ministra ustąpił w sierpniu 1831 roku, nadal zasiadał w senacie, ale większej roli politycznej już nie odegrał. Jego losy po upadku powstania listopadowego są mało znane. Współtworzył i był założycielem wielu łóż wolnomularskich, w tym łomżyńskiej loży „Wschodzące Słońce”, której członkami byli też bracia Rajmund i Andrzej. W Łomży Wiktor – właściciel folwarku Rembielin – dzierżawił też dochody z mostu i zorganizował dom zajezdny, który wpisał się na trwałe w pejzaż miasta. Z małżeństwa z Izabelą z Ledóchowskich Wiktor dzieci nie miał. Zmarł 24 marca 1847 roku w Warszawie, pochowany został w grobowcu rodzinnym w Jedwabnem.

Na mocy ukazu cara Aleksandra I rozpoczęto w 1820 roku budowę Traktu Warszawsko-Kowieńskiego, którą – z przerwą w czasie powstania listopadowego – ukończono dopiero w 1848 roku. Stanowił on jedną z najważniejszych dróg, nie tylko ówczesnego Królestwa Polskiego, ale całego Imperium Rosyjskiego. Łączył bowiem Sankt Petersburg z ziemiami łotewskimi, litewskimi i polskimi i dalej z Europą Zachodnią. Trakt Kowieński budowano sposobem gospodarczym przy wykorzystaniu kompanii rzemieślniczej, a później już prywatnych firm, od strony Warszawy w stronę Kowna. Fragment od Warszawy do Kowna czyli w granicach Królestwa Polskiego, oddano do użytku w latach 1820-1829. Na trasie łączącej



Ostrołękę z Łomżą trakt został oddany w 1828 roku. Codziennie kursowały nim osobowo-pasażerskie karetki petersburskie.

Przy budowie drogi powstawały także stacje pocztowe zaprzęgowe, w których dokonywano zmiany koni pocztowych. Dom pocztowy miał 20 m długości, 12 m szerokości, 9,8 m wysokości. Stawiano również budynek mieszczący pod jednym dachem spichlerz,

stajnię i wozownię. Stacja posiadała pokoje gościnne dla pocztylionów oraz niewielki zajazd. Były one budowane według projektu Henryka Marconiego. Według zestawienia z 1830 roku domy pocztowe w powiecie łomżyńskim znajdowały się w Miastkowie, Stawiskach, Mężnieniu, Rutkach i Gaci. Nadzrędnym urzędem pocztowym dla stacji był urząd pocztowy (pocztamt) w Łomży, którego naczelnikiem w 1830 roku był Mikołaj Grodzki. W Łomży urząd pocztowy oprócz przewozu korespondencji, trudnił się przede wszystkim wymianą koni do dyliżansu i prowadzeniem zajazdu z noclegami. Na podstawie ustawy z 12 lutego 1822 roku na terenie Królestwa Polskiego ustalono również zasady ruchu, wprowadzono obowiązek wymijania się pojazdów po prawej stronie. Nakazano też ustawianie tablic z nazwami miejscowości i drogowych. W tym okresie ważnym wydarzeniem było przyłączenie do miasta dawniej jurydyki jezuickiej – folwarku Rembielin, nazywanego tak do nazwiska właścicieli.

Położenie miasta na głównym trakcie sprzyjało szybkiej budowie nowych domów zajezdnych. Dwa były własnością Wiktora Rembielińskiego. Pierwszy nosił nazwę „Pod Złotym Koniem”. Budynek ten najprawdopodobniej został zbudowany pod koniec XVIII wieku na szlaku Warszawa – Petersburg, przy wjeździe do miasta od strony Ostrołęki. W połowie XIX wieku przeszedł w ręce rodziny Śmiarowskich. W 1873 roku Marian Śmiarowski – ówczesny właściciel zajazdu – zlikwidował stajnię znajdującą się przy tym obiekcie i zaadaptował ją na salę teatralną. Dziesięć lat później, w 1883 roku, Śmiarowski sprzedał zajazd Teofilowi Czochańskiemu (pozostałością tego obiektu jest budynek kina „Millennium”, patrz Wiadomości Łomżyńskie nr 54, 55). Drugi znajdował się na Nowym Rynku, był „domem zajezdny” dotychczas jedynym tylko w Łomży, którego żaden ze znamienitych podróżnych pominąć nie może”. Zajazd dzierżawił Żyd Jankiel Kokoszka, na którego skarżono się za zdzierstwo. Taksa za usługi w tym domu w 1826 roku wynosiła: „stacja na 24 godzin z meblami i opalem 2 złp, stacja



Pałac Rembielińskich w Krośniewicach. Zdjęcie współczesne z 1987 r.

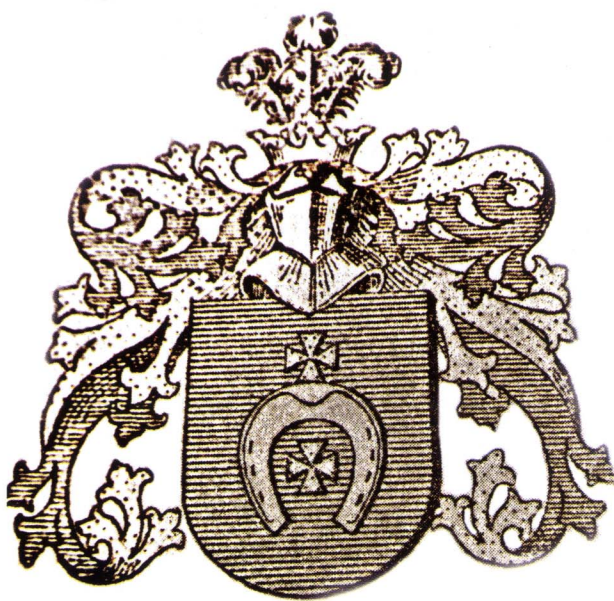
na 24 godzin z meblami bez opału 1 złp 15 gr., stancja dla jednego konia bez furazu 6 gr.”

Osoby prowadzące zajazdy zobowiązane były do prowadzenia ksiąg osób przyjeżdżających i wyjeżdżających. Z usług łomżyńskiej poczty i zajazdów korzystały wówczas różne osobistości.

W latach 1820-1826 wytyczono w części zachodniej miasta, zwanej Rembielinem, nowe ulice: Piękną, Wiejską, Przechodnią, Nadnarwiańską, Ogrodową i Topolową. Zabudowano Nowy Rynek murowanymi domami parterowymi lub jednopiętrowymi. Mając na uwadze powstałe ulice można określić położenie domu zajezdnego „Rembielin” na rogu Nowego Rynku i ulicy Pięknej – obok ówczesnego budynku po szkole pijarskiej. Zabudowania te powstały zapewne w XVIII wieku. Na planie miasta Łomży z 1805 roku znajdują się w tym miejscu dwa budynki, jeden drewniany frontem usytuowany równoległe do Nowego Rynku i drugi murowany, stojący za nim prostopadłe do placu. Na anonimowym rysunku „Widok Rynku w Łomży” z 1831 roku (Muzeum Narodowe w Warszawie), widoczny jest w tym miejscu murowany jednopiętrowy budynek. Z kolei na Planie Sytuacyjnym Rynku Nowego Miasta Łomży z września 1833 roku, na rogu Rynku i ulicy Pięknej znajdują się dwa budynki murowane: jeden frontem do placu, drugi usytuowany do niego prostopadłe i są opisane jako „Dom JW Kasztelana Rembielińskiego”. Przypomnę, że w 1824 roku Wiktor Rembieliński powołany został na senatora – kasztelana Królestwa Polskiego. Na rogu Nowego Rynku z obecną ul. Wojska Polskiego zaznaczony jest na tym planie budynek poczty.

Jak wspominałem wcześniej, z drugiego małżeństwa Rajmunda Rembielińskiego urodziło się dwóch synów: Aleksander i Eugeniusz. W roku 1840 dla poratowania zdrowia młodszego syna Eugeniusza, Rajmund wyjechał z nim na miesiąc letnie u wód śląskich do Salzbrunn czyli do Szczawna – Zdroju, a jesienią tegoż roku pielęgnował w Warszawie, wraz z żoną chorego na gorączkę tyfoidalną starszego syna Aleksandra. Gdy ten przyszedł do zdrowia, Rajmund wybrał się w styczniu 1841 roku w interesach i w odwiedziny do braci w Łomżyńskie. Zaskoczony w trakcie podróży dużymi śniegami musiał przesiąść się z powozu do odkrytych sań i z wielkim trudem przybył do Łomży. Zatrzymał się w domu brata Wiktora. Wskutek przeziębienia dostał febrę nerwową i pomimo troskliwego pielęgnowania przybyłej zaraz z synami żony i wszelkich starań braci i biegłych lekarzy, po kilkutygodniowej chorobie zmarł 12 lutego 1841 roku o godzinie

dziwiętej wieczorem, w domu Wiktora. Zwłoki Rajmunda Rembielińskiego spoczęły na cmentarzu w Jedwabnem. Na mocy spisane testamentu dobra po Rajmundzie przejęli synowie: Andrzej odziedziczył Krośniewice, zaś Eugeniusz – Jedwabne i Mężenin. Eugeniusz odziedziczył także grunty po zmarłym w 1846 roku stryju Andrzeju i wziął chyba w wieczystą dzierżawę część posiadłości po zmarłym w 1847 roku stryju Wiktorze. Eugeniusz energicznie kontynuował dzieło ojca. W samym Łomżyńskim należały do niego dobra liczące ponad 9000 ha; z tego w samym mieście Łomży – Rembielin, tj. 345 mórg oraz Jedwabne, Mężenin i Stara Łomża. Eugeniusz Rembieliński opuścił posiadłości w marcu 1863 roku, czym naraził się powstańczemu Rządowi Narodo-



wemu. Powstała w 1863 roku spółka cywilna zakupiła od Eugeniusza Rembielińskiego place przy Rynku Pocztowym i między ulicą Nowogrodzką, a traktem kowieńskim, gdzie później zbudowano budynek zaprojektowany przez Henryka Marconiego. Sprzedał on także grunty orne na ulicy Polowej indywidualnym nabywcom pod budowę domów. Jeszcze za życia Eugeniusza uległ częściowej parcelacji cały kompleks byłych posiadłości Rembielińskich w Łomżyńskim, a dobra Jedwabne, za sprawą Ewy – siostry Rajmunda – przeszły we władanie Skarżyńskich.

Pod koniec XIX wieku w Łomży funkcjonowały cztery hotele: Polski, Warszawski, Wiedeński i Rembielin. Właścicielem hotelu i restauracji „Rembielin” była Antonina Popkowska. W 1897 roku w hotelu było 9 numerów, a taksa czyli cena za sam pokój, wynosiła od 60 kopiejek do 1 rubla. Na początku XX wieku przybył w mieście kolejny hotel – Gdański. W 1906 roku w hotelu Rembielin zwiększono ilość numerów do 12, a w 1907 roku taksa na numer wynosiła od 1 rubla do 1 rubla

i 50 kopiejek. Pościel dodatkowa to 30 kopiejek, opał 25 kopiejek, za ręcznik 5 kopiejek, świeca stearynowa 10 kopiejek, samowar 15 kopiejek, stajnia na jednego konia na dobę 5 kopiejek i wozownia dla powozu za dobę 10 kopiejek. Od 1911 roku budynkiem rządziła znana w mieście rodzina Iwanickich. Paweł i Jan Iwanicki zamknęli obiekt i poddali go remontowi i przeróbce. W listopadzie 1928 roku Józef Iwanicki „po gruntownym i z pewnym komfortem, odnowieniu restauracji”, zaprosił przedstawicieli władz i miejscowego społeczeństwa na uroczyste otwarcie. Jeżeli przed wojną ważny gość przybywał do Łomży, to powinien był zatrzymać się w tym hotelu, przy placu Kościuszki 13, gdzie oferowano 19 miejsc hotelowych, za cenę 2 złotych i 50 groszy. Przy czym była to cena

bez kosztów opału, trzeba było także dodać 10 proc. na służbę, 10 proc. podatku miejskiego i po 10 groszy na karty meldunkowe. W 1918 roku mieszkał w hotelu Aleksander Zelwerowicz, który twierdził, że hotel był świetny a jeszcze lepsza restauracja. Można mu chyba wierzyć, bo był ponoć wielkim smakoszem. W pokoju hotelowym Zelwerowicz zostawił pantofle ranne. Kiedy Hanka Bielicka studiowała pod koniec lat trzydziestych w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, Zelwerowicz pytał ją, czy nie zapytałaby właściciela hotelu o jego pozostawione kapcie... W budynku tym gościli także m.in. Józef Piłsudski, czy minister spraw wewnętrznych gen. Sławoj – Składkowski. Budynek frontowy hotelu z bramą przejazdową, mieścił na parterze salę restauracyjną, w której znajdowała się palma.

Jej długie, rozłożyste liście sięgały sufitu. Były tu także trzy „gabinety” oraz zaplecze kuchenne. Na piętrze – pokoje hotelowe, a w podwórzu z lewej strony – oficyna mieszkalna. W głębi – zabudowania gospodarcze: lodownia, pralnia, stajnia, wozownia i warsztat stolarski. We wrześniu 1939 roku budynek został spalony; rozebrano go w latach 1941-1944.

Podczas prac archeologicznych archeolodzy odkryli fundamenty tego obiektu i posadzkę z malowanych płytek, będących zapewne częścią sali restauracyjnej. Być może odsłonięta przez archeologów posadzka stanowiła wystrój sali restauracyjnej po remoncie w 1928 roku. Szkoda, że badania nie mogły być prowadzone w kierunku placu Kościuszki, co pozwoliłoby na ustalenie usytuowania budynku hotelu przy ulicy Pięknej. Podczas tych prac natrafiono także na fragment fundamentu budynku kolegium pojezuickiego z XVIII wieku oraz częściowo zniszczony zachodni fragment fundamentu budynku szkoły pojezuickiej z połowy XVIII wieku.

DR JERZY JASTRZĘBSKI



ADAM SOKOŁOWSKI

„MOROWE POWIETRZE” W DZIEJACH (NIE TYLKO) ŁOMŻY

Miasto i pomory

Epidemie i miasta to w historii trwały związek. Od początku powstania miast wiele tysięcy lat temu, były one nawiedzane przez morowe powietrze, zwane tak od morów, pomorów, czyli masowego umierania od roznoszonych przez powietrze chorób. Epidemie często towarzyszyło innym klęskom i żywiołom i same też takie powodowały (np. głód). Gdy „morowe powietrze” pojawiało się w mieście, zaprzestawano handlu, produkcji, odwoływano jarmarki, zamykano kościoły, szkoły, warsztaty rzemieślnicze, zajazdy, szynki, także bramy miasta. Generalnie nikogo starano się nie wpuszczać i nie wypuszczać z miast. Jednak kto mógł, uchodził z miasta w bezpieczniejsze, słabiej zamieszkane przestrzenie, np. na wieś. Z reguły dotyczyło to dworu królewskiego, szlachty, patrycjatu czyli bogatszego mieszczaństwa, wyższego duchowieństwa, jeśli takowe w mieście było. Taka ewakuacja lokalnych elit często zmuszała tych, co zostali, do wyboru władzy zastępczej na czas zarazy, np. „morowego burmistrza”. W średniowieczu i we wczesnej nowożytności na miejscu zostawali rzemieślnicy (właściciele warsztatów), zakony i szpitale oraz biedniejsze warstwy społeczne. Siłą rzeczy te grupy stawały się główną ofiarą zarazy. Epidemie skutkowały nie tylko doraźnymi ograniczeniami życia miejskiego i zgonami, ale w dłuższym okresie przyczyniały się także do regresów, czasami upadków miast. Zarazy były np. jedną

z przyczyn upadku miast mazowieckich w XVII wieku; tak było w przypadku Łomży. Obok tradycyjnie przyjmowanych w historiografii przyczyn, jak m.in. siedemnastowieczne wojny Rzeczypospolitej (szczególnie dotkliwy dla miast był „potop szwedzki”) czy niekorzystne rozwiązania prawne, wprowadzane przez dominującą szlachtę, miasta niszczyły liczne pożary, powodzie i epidemie głodu, ale przede wszystkim niezwykle dotkliwe zarazy (głównie tyfus, dżuma, ospa, grypa, dyzenteria). Straszliwe żniwo, jakie przynosiły, powszechnie traktowane było przez mieszczan jako „gniew i dopust boży”.

Epidemie w Łomży

W miastach średniowiecznych epidemie były zjawiskiem permanentnym, jednak w przypadku Łomży, jako miasta powstałego pod koniec średniowiecza, stały się one największym problemem dopiero w czasach nowożytnych. Od XVI do XVIII wieku morowe powietrze pojawiło się w naszym mieście w latach: 1504, 1569, 1575, 1624, 1625, 1630, 1650, 1653, 1700, 1710, 1711, 1750, 1791, 1793, 1794, 1800. Daje to w ciągu trzech wieków 16 odnotowanych epidemii, czyli takich, które uznane zostały za znaczące. Dla przykładu w Warszawie w tych stuleciach było około 20 epidemii, i to z reguły kilkuletnich. Według niektórych

badaczy było ich o wiele więcej, szczególnie jeśli liczyć każdy rok epidemii oddzielnie, jak w Krakowie, gdzie historycy w analogicznym okresie naliczyli ich ponad 90, najwięcej wśród polskich miast. W Gdańsku w 1564 roku trwająca od maja do października epidemia zabrała 15 tys. z 60 tys. mieszkańców (1/4 całego zaludnienia). W 1575 roku zaraza zdziesiątkowała Zambrów. Według części historyków wiele wskazuje na to, że ostatni książęta mazowieccy Stanisław (zm. 1524 r.) oraz Janusz (zm. 1526 r.), fundatorzy fary łomżyńskiej (dzisiaj katedry), zarazili się podczas epidemii panującej w Warszawie w latach dwudziestych XVI wieku i w wyniku tego zmarli. Czasami na nasze miasto wpływały epidemie z innych, odległych miejsc. Np. w październiku 1572 roku do Łomży z Płocka przyjechała infantka Anna Jagiellonka, a jednym z powodów opuszczenia tamtego rejonu (a działo się to bez zgody rady koronnej po śmierci jej brata, króla Zygmunta Augusta) było także to, że wtedy w okolicach Płocka szerzyło się morowe powietrze, przed którym Anna schroniła się na dworze królewskim w Łomży. Warto przypomnieć, że w tym okresie w Łomży pracował,



Karawaka w Łomży przed mostem piętnickim. Stan sprzed 1983 roku.

📷 Marcin Niemczura



Karawaka przy ul. Zdrojowej w Łomży.

Fot. Marek Maliszewski

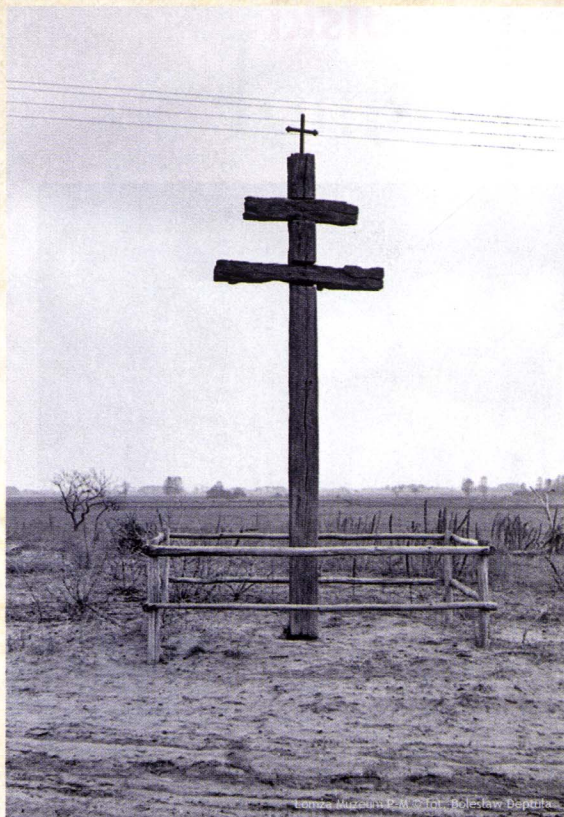
słynny na cały kraj, medyk i cyrulik Marcin z Wałcza o przydomku „Ruffus”, pochodzącym od tzw. pigulek Ruffa, czyli mieszanki aloesu, szafranu i mirry, stosowanych w leczeniu dżumy. Właśnie tej kwestii poświęcił on swoją rozprawę, napisaną prawdopodobnie w naszym mieście, a wydaną w 1588 roku w Krakowie. Pierwszym zaleceniem w niej zawartym było... „uciekaj z miejsca zapowietrzonego co najrychlej, co najdalej, a nierychło się wracaj”.

Zarazy miejscowe zawsze odciskały na mieszkańcach danego miasta bezpośrednie negatywne piętno. Szczególnie te siedemnastowieczne siały spustoszenie. To one również przyczyniły się do tego, że Łomża, która jeszcze w drugiej połowie XVI wieku liczyła 3300 mieszkańców i 500 domów, sto lat później, pod koniec XVII wieku, miała tylko 300 mieszkańców, a domów kilkadziesiąt. Dla przykładu, w 1624 roku w wyniku zarazy zmarło 12 łomżyńskich jezuitów, a w Łomży i okolicy kilka tysięcy osób. W latach dwudziestych XVII w. epidemia szerzyła się na całym północno-wschodnim Mazowszu i zebrała obfite żniwo choćby w Ostrołęce. Akurat ta epidemia musiała wzbudzić mocne przerażenie, skoro aby ją zażegnać, wykopano na cmentarzu w Łomży ciało księdza, szlachcica i chłopca, którym ucięto głowy. Nie przyczyniło się to oczywiście do oddalenia zarazy, za to władze kościelne w efekcie tej profanacji zamknęły cmentarz na 5 miesięcy. W kwestii cmentarzy dodajmy, że wtedy znajdowały się one przy kościołach w obrębie miast. W XVIII wieku, m.in. w następstwie rosnącej refleksji epidemicznej, ze względów sanitarnych zaczęto je przenosić na tereny podmiejskie. W Łomży dokonano tego na przełomie XVIII i XIX wieku.

Powracające epidemie także w XVIII wieku powodowały, że handel i rzemiosło odbudowywały się z trudem. Wymowny jest przykład jarmarków, których Łomża w tym okresie przyznanych miała aż 9 rocznie, ale tylko jeden się odbywał. Oczywiście działo się tak nie tylko z powodu epidemii, ale bez wątpienia każda, która docierała do Łomży i okolicznych osad, zbierała śmiertelne żniwo wśród ludności, a bez ludzi i towarów jarmarki nie miały racji bytu.

Łomża zaczęła odradzać się demograficznie dopiero w XIX stuleciu, niestety również nie wolnym od epidemii. Szczególnie dokuczliwa okazała się cholera. Znaczącą epidemię odnotowano choćby w roku 1813. Kiedy po klęsce Napoleona pod Moskwą w 1812 roku (w grudniu tego roku cesarz zatrzymał się na kilka godzin w Łomży) przez nasze miasto zaczęły się przetaczać wojska rosyjskie, pogorszyły się warunki sanitarne. Lazarety były przepełnione. W marcu 1813 roku doszło do wybuchu epidemii cholery, której ofiarą padło wielu mieszkańców, ale także żołnierzy rosyjskich. Do podobnej sytuacji doszło podczas powstania listopadowego, kiedy w 1831 roku do Łomży wkroczyli również Rosjanie. Zaraza pogorszyła i tak ciężką sytuację ludności, spowodowaną

trwającym już powstaniem. Wracając do epidemii z marca roku 1813, chorowali zarówno żołnierze rosyjscy, jak i mieszkańcy miasta. Lazaret w kolegium popijarskim został znacznie przepełniony. Przebywały w nim każdego dnia dziesiątki osób. Już w maju odnotowywano wiele zgonów dziennie. Z braku odpowiedniej liczby duchownych i w efekcie dużej ilości pogrzebów niesakramentalnych, sprowadzono do Łomży kapucyna Se-



Krzyż choleryczny w Laskach na Kurpiowszczyźnie, 1976.

Bolesław Deptuła

verynusa do udzielania ostatniej posługi. Zaraził się jednak i on i zmarł na cholerę w sam koniec epidemii, która wygasła w czerwcu. Interującym świadectwem zaraz panujących w Łomży w XIX wieku są wpisy w księgach zgonów, znajdujących się w archiwach łomżyńskich. Często przyczyną śmierci była np. cholera. Czasami jednak nie zostało to odnotowane, ale jeśli zgonów w danym miesiącu było nieproporcjonalnie dużo w stosunku do sąsiednich miesięcy i lat możemy wnioskować, że mieliśmy do czynienia z co najmniej lokalną epidemią. Odzwierciedlenie w aktach znajduje choćby wspomniana epidemia z 1831 roku, kiedy to w parafii Łomża odnotowano 495 zgonów. Dla porównania w 1832 roku 222 zgony, a w 1833 roku 188 zgonów. W roku 1837 epidemia cholery zaatakowała Łomżę w sierpniu i wrześniu, zabierając co najmniej 100 osób. Wśród nich sędziego trybunału, pisarza ziemskiego, inspektora więzienia, księdza, nauczyciela gimnazjum. Cholera pojawiała się jeszcze m.in. w roku 1852 i na mniejszą skalę w 1873 i 1894. Oprócz cholery, w Łomży i regionie w XIX wieku problem stanowiły również ospa, tyfus, gruźlica i inne choroby zakaźne.

„Choroby tłumu”

Epidemie, czyli „choroby tłumu”, pojawiły się wtedy, gdy zaczęły tworzyć się duże populacje ludzkie wskutek przyjęcia osiadłego trybu życia po tzw. rewolucji agrarnej. W efekcie zagęszczonego wspólnego życia ludzi i zwierząt oraz wzrostu liczby jednych i drugich, drobnoustroje ze zwierząt różnymi drogami (np. odchody, zranienia, wydychane powietrze) zaczęły przechodzić na człowieka. Odra, gruźlica, ospa przeszły od bydła, grypa od świń i kaczek, krztusiec od świń i psów, malaria złośliwa od kurcząt. Niektórzy badacze twierdzą, że rozwój rolnictwa okazał się dla zarazków błogosławieństwem, powstanie miast prawdziwym rajem, a całe zjawisko czasami nazywają „śmiertelnym darem naszych zwierzęcych przyjaciół”. Od tamtej pory, czyli od wielu tysięcy lat, epidemie o różnym pochodzeniu nawiedzają ludzkość i miasta regularnie. Istotną przyczyną ich łatwego szerzenia się były na pewno fatalne warunki sanitarne w miastach. W efekcie, do początku XX wieku, populacjom miast europejskich było bardzo trudno utrzymać swoją liczebność samodzielnie, a zgony były rekompensowane głównie przez napływ ludności wiejskiej.

Niektóre z epidemii pochłonęły naprawdę dużo ofiar. Historycy podają za przykład często trzy pandemie, tzw. dżumę Justyniana z VI w. n.e., czarną śmierć z XIV wieku oraz grypę hiszpankę z początku XX wieku. Każda z nich pochłonęła dziesiątki milionów istnień. Warto wiedzieć, że generalnie aż do XX wieku w epidemiach umierało więcej osób niż ginęło w konfliktach zbrojnych. Niektóre z nich powodowały też daleko sięgające skutki historyczne. W historiografii szczególnie czarna śmierć poddana została licznym interpretacjom pod kątem długotrwałych następstw, daleko wykraczających poza średniowiecze. Według niektórych historyków, ta epidemia wraz z nawiedzającymi Europę różnymi klęskami doprowadziła do głębokiego kryzysu psychologicznego i powstania w kulturze Europy zjawiska wielkiego strachu, który pogłębił wśród Europejczyków poczucie winy – klęski postrzegano jako karę za grzechy. Inni zwracali uwagę, że stała się ona jednym z katalizatorów przemian społeczno-gospodarczych i utorowała drogę do powstania kapitalizmu. Jeszcze inni podkreślają, że powtarzające się epidemie, mające następstwa w skali masowej, skutkowały też zwiększonym zainteresowaniem władzy państwowej zdrowiem całych populacji i tworzeniem systemu, mającego to zdrowie nadzorować. To z kolei prowadziło do kształtowania się nowego rodzaju kontroli nad życiem społecznym, tzw. biowładzy, czyli dyscyplinarnej władzy nad ciałem człowieka. Ale to już temat na zupełnie inny artykuł.

ADAM SOKOŁOWSKI

Adiunkt w Dziale Historii

Muzeum Północno-Mazowieckiego w Łomży

ADAM SOKOŁOWSKI

Lejba Karbowski

i jego Hotel Polski



Fragment Nowego Rynku: Hotel Polski i kościół ewangelicki.
Pocztówka wydana w 1916 r. ze zbiorów Muzeum Północno-Mazowieckiego w Łomży



Hotel Polski i Soldatenheim w Łomży. I wojna światowa, okupacja niemiecka. fotopolska.eu

Wiosną br. przeprowadzone zostały badania archeologiczne na ulicy Rządowej w związku z odbywającym się jej remontem. W ich trakcie dokonano interesującego archeologiczno-historycznego odkrycia – odsłonięto fundamenty budynku o długiej historii, który pełnił w pewnym jej okresie rolę hotelu. Był to Hotel Polski, położony w okresie międzywojennym przy pl. Kościuszki i ul. Rządowej. Archeolodzy pod kierunkiem Mieczysława Bieni odsłanili kilkumetrowy kamienny fundament budynku, który wzniesiony został jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku przez Mateusza Śmiarowskiego – łomżyńskiego prawnika, jako obiekt mieszkalny i siedziba jego kancelarii notarialnej. Pod koniec XIX stulecia Śmiarowscy sprzedali budynek Lejbie Karbowskiemu, który przekształcił go w hotel o najwyższej wówczas w mieście renomie. Oferował kilkanaście pokoiów o wysokim standardzie, posiadał restaurację i kawiarnię. Atutem było bardzo atrakcyjne usytuowanie – przy jednym z ówczesnych centrów Łomży, czyli dawnym Nowym Rynku (od 1917 roku pl. Kościuszki), ulicy Rządowej prowadzącej do Starego Rynku oraz przy trakcie z Warszawy w kierunku północno-wschodnim i do Prus, czyli dzisiejszej ulicy Wojska Polskiego, przez pl. Kościuszki do ul. Zjazd. Układ przestrzenny tej części Łomży różnił się wówczas znacznie od dzisiejszego. Ulica Rządowa nie biegła dokładnie tak, jak dziś. Stąd relikty hotelu znaleziono w jej dzisiejszym zakresie.

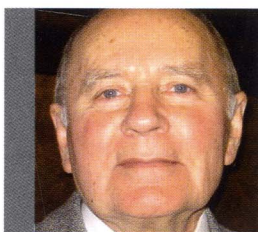
Hotel słynął z piękna i elegancji wnętrza nie tylko w Łomży, ale i regionie. Podobno zatrzymywało się w nim wiele osobistości ze świata, chociaż, jak miał mawiać jego właściciel: „Nigdy nie zatrzymał się w moim hotelu rabin. Przybywają księża katolicki, przybywają kapłani wiary prawosławnej, natomiast rabin nie przekroczył mojego progu”. Lejba Karbowski był Żydem, który przybył do Łomży z Augustowa. Zanim stał się hotelarskim przedsiębiorcą, praktykował jako kelner w restauracji, stopniowo przechodząc etapy awansu ekonomicznego, który zawdzięczał swojej pracy i wytrwałości. Jednocześnie, gdy już na stałe osiadł w Łomży i stał się osobą majątną, od początku ujawnił swoją naturę społecznika i mecenasa różnych inicjatyw. Wspierał choćby budowę szpitala żydowskiego przy ulicy Senatorskiej czy wielkiej synagogi na rogu Giełczyńskiej i Senatorskiej. Dbał nie tylko o odpowiedni wystrój swojego hotelu, ale i sam również słynął z szyku – zawsze nosił frak i cylinder.

Chociaż nie należał do ludzi wykształconych, starał się jak mógł wspierać w zdobywaniu wykształcenia swoich synów. Miał ich ośmiu, większość skończyła uniwersytety i została lekarzami. Zawsze namawiał ich do zamieszkania w Łomży, ostatecznie tylko jeden z nich został w niej na stałe. Jemu to właśnie pomógł otworzyć praktykę lekarską i wyposażić gabinet. Julian Karbowski, bo o nim mowa, był zasymilowanym Żydem, dobrze znającym język polski i słabo hebrajski, chirurgiem po Uniwersytecie w Petersburgu, łomżyńskim lekarzem, radnym miejskim w latach dwudziestych. Zmarł w Łomży w 1937 roku. Inny z synów Lejby, Bronisław Karbowski, kształcił się w Berlinie, gdzie uzyskał stopień doktora nauk medycznych w zakresie laryngologii. Służył w polskim wojsku jako lekarz w okresie wojny polsko-bolszewickiej. W dwudziestolecie międzywojennym nie mieszkał jednak w Łomży, ale w Warszawie. Tam pracował w słynnym Szpitalu Starożykonnych, gdzie w latach 30. pełnił funkcję ordynatora oddziału laryngologicznego. Po wybuchu II wojny światowej jako major rezerwy Wojska Polskiego został osadzony w Starobielsku i zamordowany przez Sowietów w Charkowie w 1940 roku. W 2007 roku został awansowany pośmiertnie przez Ministra Obrony Narodowej RP do stopnia podpułkownika.

Podczas prac archeologicznych znaleziono w obrębie hotelu również bagnety, co jest o tyle ciekawe, że w okresie okupacji niemieckiej w czasie I wojny światowej w hotelu mieścił się niemiecki Soldatenheim (Dom Żołnierza), natomiast w listopadzie 1918 roku Polska Organizacja Wojskowa w Łomży umieściła w budynku centrum dowodzenia akcją rozbijania Niemców 11 listopada. Hotel z powodzeniem działał po odzyskaniu przez Polskę i Łomżę niepodległości. Budynek został zniszczony podczas II wojny światowej, która wraz z drugą okupacją niemiecką (1941-1944) ostatecznie przerwała obecność ludności żydowskiej w Łomży i wynikającą z niej wszelką działalność mnóstwa żydowskich instytucji przedwojennego miasta. Dziś o hotelu przypominają tylko dawne pocztówki, zdjęcia, archiwalia i z rzadka wspomnienia mieszkańców. Teraz dodatkowo jeszcze, odkryte i udokumentowane obecnie przez archeologów, historyków, fotografów, zachowane w ziemi jego materialne ślady.

ADAM SOKOŁOWSKI

Adiunkt w Dziale Historii
Muzeum Północno-Mazowieckiego
w Łomży



RYSZARD DZIEWAŃSKI

Łomżyńskie Legionistki

Zwycięska Bitwa Warszawska 25-28 sierpnia 1920 r. była momentem przełomowym w wojnie z Armią Czerwoną. Zwycięstwo nad Armią Czerwoną nie tylko obroniło młodą niepodległość Polski, ale powstrzymało również rozprzestrzenianie się rewolucji bolszewickiej na całą Europę. W tym ogólnopolskim wysiłku udział wzięły też kobiety zrzeszone w Ochotniczej Legii Kobiet. Ten aspekt obywatelskiego zaangażowania i ofiarności, jako może mniej znany, chcę przybliżyć Czytelnikom, posługując się rodzinnymi pamiątkami.

Początki OLK sięgają 28 listopada 1918 r., kiedy to w czasie walk o Lwów, Lwowianki utworzyły oddziały ochotniczej milicji kobiecej. W grudniu tego roku dowództwo miasta przekształciło te oddziały w formację ściśle wojskową: skoszarowaną, umundurowaną, zaprowiantowaną i uzbrojoną, której nadano oficjalną nazwę Ochotnicza Legia Kobiet. W czasie walk o Lwów OLK liczyła około 400 kobiet. Zginęło ich łącznie 66.

Podczas wojny polsko-bolszewickiej OLK zwiększyła swoją liczebność do 2530. Legionistki kierowane były do służby liniowej, do wojskowej służby medycznej, do oddziałów wartowniczych. Te ostatnie ochraniały obiekty wojskowe oraz zabezpieczały transporty zaopatrzenia na fronty.

Główną pamiątką rodzinną ze wspomnianych wyżej jest fotografia nr 1. licząca sobie sto lat, przedstawiająca grupę Legionistek. Na odwrocie jest odręczny napis, tłumaczący wszystko (z zachowaniem pisowni): „Warszawa Praga fort Śliwickiego 2ga Kompania Baonu wartowniczego OLK przy W.C.U.S. (2-ga zmiana) 1920 r. Marja Kordjak, Marja Kozłowska, Julja Cyranowicz, Józefa Szymkowska, Stanisława Stelmasiak, Stanisława Dutkiewicz, Kamila Wyrzykowska, Sawicka, Lucyna Lwowska, Mąkowska, Weselak, Ciechońska, Józefa Balińska, Gruszka, Zofja Brzuzek, Marja Orłowska, Wanda Sieciechowicz, Marjanna Sychut, Stefanja Szumska, Helena Borowska ”.





Opis zdjęcia i lista dziewczyn zostały własnoręcznie zapisane przez moją mamę, Legionistkę, Julię Cyranowicz (3. poz. od góry), a na zdjęciu – siedząca pierwsza z prawej strony. Przepisując imiona zachowałem ówczesną pisownię, ale nie wykluczam również możliwych błędów w nazwiskach, bo ta fotografia i napisy mają sto lat i nie zachowały świeżości. To zbiorowe zdjęcie zostało wykonane prawdopodobnie około 20 sierpnia 1920 r. Poważne miny fotografowanych mogły być spowodowane groźną sytuacją na froncie; groziło przełamanie polskiej obrony. Strach przed agresorem, potęgowany plotkami o szpiegach i dywersantach jeszcze bardziej ten strach wzmacniał. W tej atmosferze służba wartownicza, szczególnie nocna, dostarczała wielu stresujących przeżyć. Pamiętam fragment piosenki nuconej przez moją mamę na melodię „My pierwsza brygada...” ze słowami: „My oddział wartowniczy, każda z nas tak krzyczy...” To krzyżenie dotyczyło zachowań dziewczyn szczególnie w czasie nocnej służby, kiedy to każdy odgłos czy szmer napinał nerwy do granic wytrzymałości. Moja mama nie miała wtedy pełnych 18 lat.

Fot. nr 2 przedstawiająca (od lewej) Zofię Wołkońską, Eugenię Remiszewską i Julię Cyranowicz, które pochodziły z sąsiednich miejscowości i razem wstąpiły do OLK, wykonano w maju lub w czerwcu 1920 r., prawdopodobnie przed samym wstąpieniem do OLK. Zaginęło natomiast zdjęcie Julii C. z długim karabinem, na posterunku oraz książka o Józefie Piłsudskim ze zdjęciami z kampanii wojennej. Wojnę 1939 r. oraz obie okupacje i ewakuację, pamiątki te przetrwały w „zakamarkach” małego strychu, do którego dostęp był utrudniony.

Legionistki OLK były wielokrotnie chwalone i wyróżniane przez dowództwo za rzetelną i ofiarną służbę. Batalion Liniowy OLK został rozwiązany już w październiku 1920 r., natomiast pozostałe bataliony po zawarciu rozejmu w 1922 r.

Fort Śliwickiego. W roku 1832 władze carskie, po upadku Powstania Listopadowego, zaczęły budować Cytadelę na skarpie lewego brzegu Wisły w Warszawie, z zamysłem kontroli nad miastem, będącym ośrodkiem polskiego ruchu niepodległościowego. Na przeciwnym brzegu praskim, w latach 1835-36 wybudowano fort, pełniący funkcję bardzo silnego przedmościa cytadeli. Był to fort ziemno-ceglany, z dwoma potężnymi działobitniami. Umocnienie otaczała mokra fosa. Fort w dobrym stanie przetrwał do połowy XX wieku. W czasie wojny bolszewickiej mieścił się tu m.in. Centralny Urząd Gospodarczy. Obiektu strzegło 80 wartowniczek.

Mieszkancki Ziemi Łomżyńskiej w OLK: to właśnie one figurują na fot. nr 2. Wszystkie trzy zamieszkiwały w pobliskich od Łomży miejscowościach, ale dokładnej wiedzy o tym nie mam.

Julia Cyranowicz urodziła się 26 grudnia 1902 r. u stóp Uralu, w mieście Perm. Ojciec Jan Cyranowicz – wojskowy, matka Anna Cyranowicz z domu Koniuszewska, dwóch braci Andrzej i Stanisław oraz siostra (nie pamiętam imienia). Anna zmarła po urodzeniu ostatniego dziecka. Krótko po tym ojciec Julii przyjechał do Polski i ożenił się powtórnie z Polką, z Regiminą, Stefanią Florysiak. Ślub odbył się w Ciechanowie, po czym wyjechali do Perm. W rodzinie Cyranowiczów dzieci uczyły się również języka polskiego i kultywowano polskie tradycje.

Prawdopodobnie z chwilą wybuchu I wojny światowej w 1914 r. mój dziadek Jan Cyranowicz uznał, że rodzina będzie bezpieczniejsza w Polsce i tego samego roku, (według relacji wnuczki Stefani, Alicji, która żyje i mieszka w Gdańsku) wysłał Stefanię będącą w ciąży, z ich około 3-letnią córką i dwiema pasierbicami, do Polski.

Julię z siostrą przyjęło do siebie stryjostwo, a Stefania z córką zamieszkała w swoich rodzinnych stronach. Stryj Wincenty był dróżnikiem kolejowym na linii Białystok – Ostrołęka na terenie powiatu łomżyńskiego. Uzasadniam to zasłyszczanymi wspomnieniami mojej mamy o domu dróżnika i pobliskich miejscowościach, w których bywała:



Czerwony Bór, Puchały, Wygoda, Pniewo, Śniadowo i Łomża. W Puchałach, razem z mamą, około 1970 r. odwiedziliśmy grób jej siostry, która zmarła w wieku ok. 6 lat.

Na fot. nr 3 Wincenty Cyranowicz z małżonką Marianną i zmarłą bratanicą. Marianna i Wincenty Cyranowicz pochowani są na cmentarzu przy ul. Mikołaja Kopernika w Łomży. O stryju i jego żonie zawsze mówiliśmy „dziadkowie”; miało to przypominać nam też prawdziwego dziadka, który zaginął w Rosji, być może w czasie rewolucji, co z zachowaniem ostrożności dawał do zrozumienia w liście z 1925 r., napisanym łamaną polszczyzną jeden z braci Julii.

Julia Cyranowicz w roku 1925 wyszła za mąż za Jana Dziewańskiego, wdowca z dwiema małymi (6 i 2 lata) córkami, który wówczas był naczelnikiem poczty w Ujeździe.

Fot. nr 4, wykonana w 1924 r. przedstawia przyszłych małżonków. W Ujeździe urodziły się dwie następne córki. Potem pracował i mieszkał z rodziną w Kolnie i Grajewie. W Grajewie ja przyszedłem na świat, po czym w 1937 r. przeprowadziliśmy się do Łomży.

Do śmierci męża 10. lipca 1941 r. (z powodów ran wojennych) Julia zajmowała się domem i pięciorgiem dzieci. Od tego czasu zajęła się też rękodzielnictwem i pracą u pobliskich rolników, np. przy wykopkach ziemniaków. Po wojnie uczestniczyła w działalności Ligi Kobiet, m.in. prowadziła hodowlę jedwabników LK, która mieściła się w kamienicy przy ul. Długiej. Często tam bywałem i pomagałem w doglądaniu tej hodowli.

Na początku lat 50. pracowała w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci.

W roku 1954 zaczęły się kłopoty zdrowotne Julii. Położono ją na onkologii szpitala w Białymstoku. Stan chorej był bardzo poważny, ale w końcu trafiła do Instytutu Onkologii w Warszawie, skąd po paru tygodniach wiozłem mamę do Łomży w stanie gorszym niż przed leczeniem. Po 3 miesiącach pojechaliśmy na kontrolę do Instytutu i czekaliśmy kilka godzin na badanie. Różne osoby przepraszały nas za długie czekanie, ale potem wszystko się wyjaśniło. Nie mogli znaleźć dokumentacji. Okazało się, że dokumentację oddano wcześniej do archiwum, bo stan leczoney przy wypisie był beznadziejny i uznano że nie ma szans na przeżycie.

Stan zdrowia Julii ciągle się poprawiał, nie było żadnych nawrotów choroby. Około 1970 roku podjęła nawet pracę w Spółdzielni Inwalidów. Po chorobie przeżyła jeszcze 26 lat. Łącznie, w miejscowościach Ziemi Łomżyńskiej i w samej Łomży zamieszkiwała około 55 lat. Potem mieszkała z moją rodziną



w Gdańsku, następnie u siostry w Koszalinie, gdzie zmarła 24 września 1980 r. i pochowana została na cmentarzu koszalińskim. Spoczywa we wspólnym grobie ze swoimi córkami Anną i Zofią.

Jaka była Julia Cyranowicz-Dziewańska, wcześniejsza Legionistka, jakie cechy prezentowała, jak można by ją krótko scharakteryzować? Uważam, że zdarzenia losowe, których doświadczyła w swoim życiu odegrały istotną rolę w kształtowaniu jej postawy życiowej, hartu ducha i stosunku do ludzi. Świadczyć o tym mogą następujące zachowania: utrzymywała kontakty ze swoją macochą i siostrami przyrodzonymi, bardzo jej opiekę doceniała, odwiedzała; po wojnie też z mamą byłem u niej w Regiminie. We własnym domu pasierbice i własne dzieci Julia traktowała jednakowo, one też przez całe życie utrzymywały serdeczne stosunki z macochą, odwiedzały, pomagały. W zgodzie żyła

z sąsiadami. Miała kilka serdecznych przyjaciół. Współczuła dotkniętym przez los. Pamiętam jak w 1942 r. przyszła grupka żydowskich dzieci (5-7 lat) z torbami w kształcie plecaków i prosiły o żywność. W domu tego dnia była tylko zupa i ziemniaki w piwnicy. Najpierw umyła dzieci, nakarmiła zupą, a do toreb każde wzięło trochę ziemniaków. W 1944 r., szosą przy naszym domu ciągnęły sznury wozów konnych z uciekinierami. Prosił o nocleg. Przez kilka nocy w jednym pokoju wysłanym słomą, spali różni uciekinierzy. W czasie bombardowań nocnych, we wrześniu 1944 r. zachowywała zimną krew, nie popadała w panikę i nie chrońnię się w piwnicy, ale sąsiadom z małymi dziećmi donosiła do piwnicy wodę, podgrzane mleko w butelce itp.

Gdańsk, kwiecień 2020 r.

RYSZARD DZIEWAŃSKI



Ziemia biedna, więc i wieś biedna. Gdzie bieda – tam zwykle i ciemnota. Ale oświata już idzie. Pojawiają się mieczyki, znikają Żydzi...

Jak jest w Łomżyńskim?

(Od własnego korespondenta „Kurier Poznański”)

Jak prezentowały się okolice Łomży w sierpniu 1937 roku? Ziemię Łomżyńską odwiedził korespondent „Kurier Poznański”, ukrywający się pod pseudonimem KELLY. Nie wywiózł chyba najlepszego wrażenia, czemu dał zresztą upust na łamach swojej gazety, w jej niedzielnym, 405 wydaniu, 5 września 1937 roku. Red.

Łomża, w sierpniu.

Niedaleko Łomży rozsiadły się przy drogach, na nużącej oko równinie, ubogie wioski. Wszystkie chaty słomą kryte, nie zawsze bielone, czasem z drzewa, czasem lepienie z własnego pomysłu cegieł.

Na ugorach z rzadka trawą porośniętych, chodzą stadka chudych krów. Polną piaszczystą drogą czasem przejeżdża wóz ciągnięty przez kulawego konia.

Plaska równina w pobliżu wsi Ratowo przechodzi w szereg pagórków. Wzgórza ciągną się całymi łańcuchami na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych. Wzgórza te, o zaokrąglonych szczytach, porośnięte są krzewami. Są one do siebie bliźniaczo podobne, choć różne mają nazwy. Wzgórze Batorego, Onderki, Śmigłego, Prezydenta itp. Między innymi przez stoki i wąwozy biegną równą linią „dukt”. Nad nimi na słupach prężą się jak struny linie telegrafu.

Na skraju takiego wzgórza leży wieś Czerwony Bór, dająca swą nazwę świadectwo lasom,

które niezbyt dawno tu rosły. Dziesiątki hektarów olbrzymiego boru padło pastwą sówki chojnowki, drzewa wycięto, zostały tylko gołe wzgórza, które teraz zaczynają porastać krzewami.

Pionierem kultury w tych wioskach jest nasze wojsko. Gdzie ono podczas manewrów letnich przeszło lub się zatrzymało, tam drogi są wymiecione i w obejściach – jakby wojskowy porządek.

Życie chłopów na wsi łomżyńskiej jest nader proste, prawie pierwotne. Gospodarka idzie sposobem pierwotnym. Ubogie ziemie nie zawsze potrafią wyżywić gospodarską rodzinę. Każde gospodarstwo z konieczności jest samowystarczalne, lecz jakoś dla potrzeb własnych nie zawsze potrafi wystarczyć. We wsi brak rzemieślników. Chłop sam sobie radzi, lecz nie ma ani narzędzi, ani materiału. Znalezionym drutem powiąże pług połamany, wóz drążkiem brzoźowym połata i jakoś to idzie. Jeżeli kupuje, to chyba tylko zapalki, sól i trochę odzieży. Za co ma zresztą kupić?

Wejście do izby często sąsiaduje z wejściem do chlewa. Roje much obsiadają garnki, natrętnie

wcisną się do strawy. Zniecierpliwiona gospośka urwie gałąź brzeziny, otworzy drzwi i okna i wypędza to „paskudztwo”, „na dwór”. Utrzymanie porządku i czystości wymaga wielu nakładów, potrzebuje mydła, sody. A skąd tego wziąć i za co, gdy o każdy grosz tak trudno?

Niskiej stopie życia towarzyszy odpowiednio ciemnota. Zatrzymałem się kiedyś na „kwatery” w małej wiosce Ratowie Starym. Gospodarz udzielił nam gościnnej izby, sam z całą rodziną zamieszkał w kuchni. Po całych nocach słyszałem za ścianą kwilenie małego dziecka. Co chwilę odzywał się głos:

- Teńcia nie płac!

Mała, czteroletnia dziewczynka, blada, na krzywych nóżkach, oczywista, że źle odżywiona, zawodziła po nocach żałośnie.

- Co jej jest – spytałem.

- Boli ją brzuszko.

- Od czego?

- Bo jo wim?

- Może co zjadła?

Dziś 4 strony

Wydanie poranne

cena 10 groszy

KURJER POZNAŃSKI

Wychodzi dwa razy dziennie w wydaniu porannym i wieczornym – w niedziele i święta tylko wydanie poranne, w dni oświęteczne tylko wydanie wieczorne.

Telefony: 3524 i 1476

P. K. O. Poznań nr 200149

W cenie jest reklama czarna, za wyjątkiem ogłoszeń i ogłoszeń od godziny 21 do 3.

Przedpłata za dwa wydania razem za półrocznik 1936 r. w Poznaniu w kwotę zł 3,50 w agencji, w mieście zł 4,00 i odda do domu w Poznaniu zł 4,20 z odnośną przesyłką pocztą. Poza granicami miastem zł 4,50 kwartalnie zł 13,07 pod opaską w Polsce zł 7,50 pod opaską w krajach granicznych zł 9,00. W razie wypadków spowodowanych silną wycieczką, orzekniętą w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a abonenci nie mają prawa domagać się niezapłaconych numerów lub odszkodowania.

Uprzejmie dziękujemy za dotychczasową współpracę i wyrażamy nadzieję na dalszą współpracę. Redakcja i drukarnia „Kurier Poznański” w Poznaniu, ul. Marcjowa 70.

Ogłoszenia na stronie 1-4: 20 gr. na stronie 5-10: 10 gr. na stronie 11-16: 5 gr. przed wiadomościami: 1,20 gr. za linię milimetr. Ogłoszenia reklamowe: 1,20 gr. za linię milimetr. Ogłoszenia do wydania porannego: przyniesione do godz. 7 wieczór w innych wypadkach do godz. 11 a strona do wydania wieczornego: do godz. 10 przed południem. Drobne ogłoszenia: 10 gr. każde słowo 15 gr. Za ogłoszenia: 10 gr. każde słowo 15 gr. Za ogłoszenia: 10 gr. każde słowo 15 gr.

Dyrektor wydawnictwa: Roman Leitgeber.

Nr. 429.

Poznań, piątek dnia 17 września 1926.

Rok XXI.

Nowa Rada Ligi Narodów.

Pierwsze posiedzenie 42 sesji. — Echo w prasie francuskiej i niemieckiej. — Oświadczenie min. Zaleskiego.

Genewa, 16. 9. (Radio w.) Czternastu członków nowej Rady Ligi zebrało się krótko na godz. 5-tej, ponieważ Zgromadzenie Ligi gniewać się będzie dziś na Radę.

Bilans Banku Polskiego.

Warszawa, 16. 9. (AW.). Bilans Banku Polskiego na 10 września wykazuje wzrost zapasu złota i srebra o 484 tys. zł. Zapas walut zwiększył się o 6,3 milj. brutto i 7,3 netto. Obieg biletów Banku zmniejszył się o 17,2 milj. zł i wynosi 542 milj. zł.

- Może ...

Drugiego dnia zeszły się do kuchni sąsiadki, słyszałem przez ścianę ich narady:

- Na Teńcę musiał ktoś urok rzucić.

- A może rzucił!

- Wiecie kumo to trzeba złapać cernego kundla, włosów mu za uchem natargać i Teńcę okadzić, to i przejdzie.

Nie mogłem wytrzymać. „Wykadziłem” baby z kuchni a do Teńcy sprowadziłem wojskowego lekarza.

W tej samej wsi na 30-tu morgach borykała się wdowa z 6-ciorgiem dzieci. 12-letni chłopak o ślicznej twarzy, długich, kruczonych, spadających mu na ramiona włosach, już chodził w polu za pługiem i z dostojeństwem starego gospodarza odwalał słabymi jeszcze rękoma skiby. Nikogo to nie dziwiło.

- Wiadomo, jak się nie ma chłopca, to dzieci muszą robić...

Mimo tej nędzy jest w łomżyńskim chłopie jednak niespożyta siła. Tkwi on z uporem na oczystym zagonie i choć mu głód nieraz w oczy zaziera, nie traci ducha i z wiarą w lepszą przyszłość sieje i zbiera.

Gospodarstwa są duże, lecz wydajność ich bardzo mała. Poprawić obecny stan może przede wszystkim oświata, która by tego chłopca oderwała od przesądów i zabobonów i nauczyła racjonalnie użytkować ziemię.

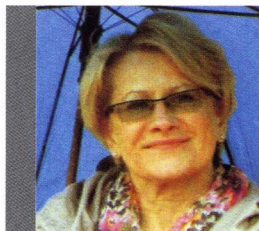
Oświata idzie tu już, wprowadzie drobnymi krokami. Poprzez organizacje społeczne i polityczne chłop styka się z innym światem, wychodzi poza swoje obejście, patrzy, medytuje i coraz częściej myśli już szerszymi kategoriami. Poprawę swojego losu widzi w organizacji, do której chętnie się garnie. Na targu w pobliskim miasteczku, w kościele, wszędzie widać chłopów z wpiętymi w klapy marynarek „miecznikami”.

Bezrolni garną się do handlu. Coraz częściej widać polskie stragany. Są miasteczka, gdzie innych straganów, jak polskie, nie ma. Wobec Żydów chłop łomżyński jest już konsekwentny. Nic u nich nie kupi i nic im nie sprzedaje. Są wsie, u których krańców stoją tablice z napisami: „Żydom do wsi wstęp wzbroniony”. Żydzi też uciekają z wiosek, w których im za ciasno, do większych miasteczek. Tam jeszcze swoją wyłącznością w niektórych dziedzinach handlu trzymają się, ale i na tę drugą pozycję przyjdzie rychło czas.

W Łomżyńskim bowiem rozwija się doskonale spółdzielczość. W samej Łomży mieści się centrala spółdzielni „Społem”, która posiada całą sieć filii, rozrzuconych po większych osiedlach. Filie te są doskonale zaopatrzone we wszystkie towary własnej produkcji i doskonale konkurują z żydowskimi handlarzami. Niesłychanie ułatwia im pracę fakt jednomyślnego poparcia społeczeństwa chłopskiego. Toteż spółdzielczość w Łomżyńskim ma wielką przed sobą przyszłość, jeżeli potrafi wyteżyc całą inicjatywę, by zdobyć chłopca na zawsze. W większych miasteczkach obroty dzienne w dniu targowe spółdzielczej filii sięgają setek złotych

KELLY.

*„My wszyscy mamy obowiązek
względem Łomży i Ziemi Łomżyńskiej.
Winniśmy przykładać się do ich
najpiękniejszego rozwoju, w taki jednak
sposób, aby nie zacierały się ich odrębne
i nieraz wielkie wartości, bo przecież to
miasto i ta ziemia, to klejnot w Koronie
Polskiej”, pisał w kwietniu 1927 roku
Bohdan Winiarski do łomżyńskiego
tygodnika katolickiego „Życie i Praca”.*



DR MARIA TOCKA

POWROTY WYCHOWAŃCÓW

KLEJNOT W KORONIE

Bohdan Winiarski, absolwent łomżyńskiego gimnazjum, kiedy korespondował z łomżyńską redakcją, był profesorem kierującym Katedrą Prawa Międzynarodowego na Uniwersytecie Poznańskim oraz pełnił funkcję wiceprezesa Stałej Komisji Komunikacyjnej i Tranzytowej Ligi Narodów.

W liście nawiązywał do pierwszego zjazdu uczniów łomżyńskich szkół, który odbył się w lipcu 1922 roku. „Pamiętamy wszyscy, z jakim zapalem przyjęto wici, zwołujące pierwszy zjazd wychowawców starego łomżyńskiego gimnazjum, z jaką radością ściągali Łomżanie ze wszystkich ziem Rzplitej do stojącego w słońcu wolności ukochanego miasta, z jakim wzruszeniem oglądaliśmy rzeczy, w których zbiegło błogosławione dzieciństwo nasze, i twarze kolegów, w których szukaliśmy przechowanych przez pamięć obrazów sprzed lat wielu, nieraz bardzo wielu. Dobry, potrzebny był tamten zjazd”, pisał Winiarski.



www.lomzyniacy.org

bez scenariusza

strony
23-34



inspirowanych przez absolwentów szkoły, między innymi ówczesnego studenta Uniwersytetu Warszawskiego Bohdana Winiarskiego.

Pomysłodawcami zjazdu byli absolwenci gimnazjum mieszkający w Warszawie: adwokat Kazimierz Głębocki i Wiktor Szumański oraz lekarz Ignacy Antosiewicz. Organizacją zajęli się absolwenci z Łomży: ówczesny przewodniczący Rady Miasta Kazimierz Antosiewicz, lekarz Jan Czaplicki, dyrektor Banku Ziemskiego Marian Wyrzykowski, Feliks i Stanisław Śmigiełscy. Pomysł mocno wspierał absolwent z 1893 roku Gimnazjum Męskiego, rezydujący w Łomży biskup pomocniczy sejneński Romuald Jałbrzykowski¹.

Uczestnicy zjazdu przyjechali do Łomży pociągiem, 11 lipca. I chociaż był to późny wieczór, na stacji czekał na nich komitet powitalny. Użyczonymi pojazdami skauci rozwieźli gości do prywatnych domów. Organizatorzy, dzięki wielkiej życzliwości łomżyńiaków, mieli do dyspozycji 140 miejsc noclegowych.

Następnego dnia, 180 absolwentów w budynku dawnego gimnazjum męskiego (obecne II LO im. Marii Konopnickiej, w budynku tym od 1918 roku mieściło się gimnazjum żeńskie) przywitał dzwonek starego woźnego Kamińskiego. Po powitaniu Jana Czaplickiego byli uczniowie ustawili się w dwuszerę i pomaszrowali, jak kiedyś, do fary na wspólną modlitwę.

„Długi był sznur tych dzieciaków. Spośród powodzi tużurków i zakietów odbijały się i uniformy wojskowe, i sutanny kapłańskie, i nawet habity zakonne. Mieszkańcy naszego grodu przystawali na ulicach, zapełniali okna i balkony, by przyjrzeć się tej niezwyklej gromadzie łomżyńskiej, której żadne cyrkularze, tajne rozporządzenia i żadne szatańskie pomysły Hurków² i Apuchtinów³ nie tknęły, a która w Golgocie narodu, w jego bólu

i mękach, w smutkach i nadziejach parła wciąż naprzód aż podniosła wraz z innymi wieko trumienne Ojczyzny”, pisała „Gazeta Łomżyńska”.

Mszę świętą w intencji absolwentów odprawił ks. bp. Romuald Jałbrzykowski. Do uczestników zwracał się jako przedstawiciel łomżyńskiego Kościoła i jako kolega ze szkoły. Wspominał nauczycieli, byłych uczniów, którzy zginęli w obronie ojczyzny. I zakończył: „Pragnąłbym, aby ta nasza rada koleżeńska, ten zjazd nasz, który rozpoczęliśmy w imię Boże, tu u stóp ołtarzy, który ma nas na nowo zbliżyć, zjednoczyć, rozniecić w nas jak najwięcej, a przez nas i w całym otoczeniu naszym, ogień Boży, ogień zapału i poświęcenia się dla dobra ogólnego, ogień umiłowania tego, co dobre, wzniosłe i szlachetne, a wtedy najlepiej spełnimy swoje zadanie i zapewnimy sobie spokój i szczęście trwałe”.

Po nabożeństwie „zjazdowa młodzież” udała się na cmentarz i złożyła kwiaty na grobach kolegów: notariusza Aleksandra Cholewińskiego (zmarł 28 maja 1922 r.), pułkownika Feliksa Napiórkowskiego, profesora Witkowskiego, poległego w czasie wojny bolszewickiej 1920 roku Leona Jakubowskiego oraz Feliksa Bernatowicza i Jakuba Wagi.

W czasie seminarium w gimnazjum męskim (obecne I LO im. Tadeusza Kościuszki) z udziałem bp. Jałbrzykowskiego i pochodzącego z Turrośli gwardiana kapucynów Beniamina Zontaga, urodzony w Wysokim Mazowieckiem był premier Jan Kucharzewski⁴ wygłosił wykład o historii Łomży.

Uroczysty obiad dla gości w gimnazjum żeńskim przygotowała restauracja Rembielin Józefa Iwanickiego (znajdowała się blisko szkoły). Były wówczas odczytywane telegramy i życzenia nadesłane od absolwentów i nauczycieli. Do zebranych

napisał m. in. późniejszy wojewoda białostocki (1936-1937), urodzony w Kolnie rotmistrz Stefan Kirtiklis: „Żałuję, że nie jestem z Wami. Tyście wspomnień przeżytych na ławie szkolnej w dniach niewoli, tysiące zmagani i poczynani młodzieńczych zdążających do wyzwolenia, dalekie, junackie czasy – dziś sen, a rzeczywistością Polska. Komendant Piłsudski niech żyje. Niech żyje miasto rodzinne Łomża”.

Dużą atrakcją była wycieczka do Drozdowa. Rozbawieni i rozśpiewani goście jechali wozami i bryczkami użyczonymi przez ziemian z okolicznych wsi. Zwiedzali browar i degustowali piwo marcowe. Bawili się opowieściami ze szkolnych czasów.

W czasie zjazdu zdecydowano o wydaniu „Łomżyńskiej księgi wspomnień”, powołaniu Stowarzyszenia Łomżan i zorganizowaniu następnego zjazdu za... pięć lat. Pożegnani przez prezydenta Łomży Władysława Świderskiego i przewodniczącego Rady Miasta Kazimierza Antosiewicza, goście rozjechali się do domów.

W ROZDARTEJ RODZINIE

Drugi zjazd, zgodnie z planem, miał odbyć się w 1927 roku. Po przewrocie majowym 1926 roku społeczeństwo polskie było podzielone. Polityczne emocje ze stolicy przeniosły się na prowincję. Podziały były widoczne także w Łomży. Świadczyły o tym prasowe publikacje. O incydencie z jesieni 1926 roku pisały regionalne i centralne media. W zorganizowanej przez młodzież zabawie uczestniczyli zwolennicy (m.in. oficerowie 33 Pułku Piechoty, uczestnicy walk) i przeciwnicy (m.in. łomżyńscy studenci w Warszawie) zamachu Józefa Piłsudskiego. W czasie wieczorku student rolnictwa znieważył oficera. Sprawa o politycznym wydzwieku trafiła na wokandę sądu wojskowego.



W kraju panował kryzys i niepokój. Zmieniały się władze: nowym wojewodą białostockim został Karol Kirst, a nowym starostą łomżyńskim Witold Skarżyński. W środowisku łomżyńskim pojawiał się temat szkolnego zjazdu, ale do organizacji nie było odpowiedniego klimatu.

Bohdan Winiarski, związany ze Stronnictwem Narodowym, był przeciwnikiem przewrotu 1926 roku. Szukał dróg pojednania. Na łamach łomżyńskiej prasy przekonywał, że w sytuacji poróżnionego społeczeństwa zjazd jest potrzebny. „Wypadki ostatniego roku sprawiły, że społeczeństwo nasze, zawsze nie dość zwarte, rozbite zostało do gruntu: nigdy jeszcze rozdarcie w rodzinie narodowej nie było tak głębokie. W takich warunkach tem bardziej wzmacniać trzeba wszystko, co nas

łączy, co sprawia, że jesteśmy narodem, a nie kupą piasku, który wichler niesie, kędy chce”. Winiarski sugerował, aby w zjeździe uczestniczyli absolwenci z różnych lat wszystkich łomżyńskich szkół: gimnazjum rosyjskiego z czasów zaborów, szkoły handlowej i gimnazjum obecnego. „Wszystkim wyjdzie na dobre, gdy maturzyści łomżyńscy z r. 1926 zetkną się z maturzystami łomżyńskimi z r. 1876, a wychowawcy Szkoły Handlowej nie będą stanowić nielicznej i odosobnionej grupy ludzi z doby przełomu”, pisał Winiarski.

Pomysł profesora na łamach „Życia i Pracy” poparł maturzysta Szkoły Handlowej z 1912 roku Bronisław Bronowicz. Uważał, że zorganizowanie zjazdu o szerszym charakterze, co proponował prof. Winiarski, „pobudzi ogół Łomżyniaków do

intensywniejszej pracy i wskaże kierunki jej, mające na celu dobro i rozwój ziemi łomżyńskiej”. W tym czasie w Łomży nie było już aktywnego inicjatora pierwszego zjazdu biskupa Romualda Jałbrzykowskiego. Nie odbył się drugi zjazd w 1927 roku.

ZJAZDOWA TRADYCJA

W powojennej Polsce I Zjazd Wychowanków Średnich Szkół Łomżyńskich został zorganizowany 27 czerwca 1958 roku. Jak napisał Wawrzyniec Kłosiński, „do Łomży jeszcze docierały pociągi osobowe. To dzięki nim nad Narew ściągnęło wtedy ponad 1300 osób z całego kraju”.

W roku 1958 powołane zostało Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Zarząd Główny TPZŁ nieprzerwanie kontynuuje piękną zjazdową tradycję (została zmieniona nazwa na Zjazd Wychowanków i Nauczycieli Szkół Ziemi Łomżyńskiej). Na zjazdy, do „klejnotu w Koronie Polskiej”, jak o Łomży pisał Bohdan Winiarski, przyjeżdżają absolwenci z kraju i ze świata.

DR MARIA TOCKA

P.S. Relacje z bogatą galerią fotograficzną ze Zjazdów Wychowanków i Nauczycieli Szkół Ziemi Łomżyńskiej, organizowanych przez ZG TPZŁ były publikowane w kwartalniku „Wiadomości Łomżyńskie”.



¹ Pierwszy biskup diecezji łomżyńskiej powołanej w 1925 r.

² Iosif Hurko – gubernator warszawski (1883-1894), wyeliminował ze szkół i urzędów język polski.

³ Aleksander Apuchtin – twórca zrusyfikowanego systemu szkolnictwa w Królestwie Polskim, kurator warszawskiego okręgu szkolnego (1979-1897).

⁴ Był premierem w 1917-1918.

ZYGMENT ZDANOWICZ

Zaczarowany świat

starych fotografii



W 2020 roku zakończenie roku szkolnego nie będzie przebiegało w tradycyjny sposób. Z uwagi na pandemię koronawirusa od połowy marca nauka odbywała się w formie nauczania zdalnego, bez kontaktu osobistego ucznia z nauczycielem.

Przed kilkoma miesiącami, dzięki Oddziałowi Związku Nauczycielstwa Polskiego w Łomży, upamiętniono 80. rocznicę powołania Tajnej Organizacji Nauczycielskiej i bohaterski czyn nauczycieli, którzy w okresie okupacji sowieckiej i niemieckiej prowadzili tajne nauczanie. Wśród nich są nauczyciele, którzy w okresie powojennym podjęli pracę w Szkole Podstawowej w Piątnicy.

Nie tylko z tych powodów z rodzinnego albumu wybrałem dwa zdjęcia z zakończenia roku szkolnego w czerwcu 1956 roku. Na pierwszym, na tle budynku szkolnego od strony boiska, radosne dzieci przed rozdaniem świadectw szkolnych i perspektywą dwumiesięcznych wakacji. Na drugim grono pedagogiczne – od lewej Aleksander Szymański, obok małżonka Łucja Szymańska, Regina Dworzak, Julian Ostrowski, Anna Mieczkowska, obok pani Kowalewska, kierowniczka szkoły Janina Gurzęda, Jadwiga Jakubiak, pani Sokółowska, Irena Bargielska i autor wspomnień.

Na zdjęciu nie ma Aleksandra Lipińskiego, pracownika Wydziału Oświaty i Wychowania Powiatowej Rady Narodowej w Łomży, pracującego na kilku godzinach jako nauczyciel wychowania fizycznego chłopców. Z dziesięciorga nauczycieli szkoły z tego okresu aż ośmioro pracowało w zawodzie przed wojną, a w czasie okupacji prowadziło tajne nauczanie. Janina Gurzęda pracowała w zawodzie ostatni rok, ja

pracę rozpocząłem. Wszyscy pozostali kończyli dwunasty rok szkolny po zakończeniu II wojny światowej. W ciągu pierwszego roku pracy miałem możliwość brania przykładu z doświadczeń, pięknych postaw odpowiedzialności, pracowitości, systematyczności i poświęcenia starszych kolegów. Nigdy nie zapominałem życzliwości pani Reginy Dworzak, która zainteresowała się pracą młodego nauczyciela i wspomagała ją. W szkole zatrudnione były tylko trzy osoby obsługi: woźny pan Jan Magdziak, jego małżonka Aleksandra Magdziak – sprzątaczką oraz Stanisław Kuczewski – palacz centralnego ogrzewania.

Budynek szkolny był w budowie. Bez sali gimnastycznej, wężła sanitarnego i szatni. W siedmioletniej szkole uczyło się 215 uczniów w 8 oddziałach. Tylko klasy szóste były dwie. Szkoła posiadała dwie filie z klasami I-IV w Czarnocinie i Kalinowie. Od klasy piątej dzieci pieszo dochodziły do Piątnicy. Tygodniowy wymiar godzin nauczycielskich wynosił 30. Realizowany był w ciągu sześciu dni tygodnia. W roku były dwie lub trzy soboty bez zajęć lekcyjnych, przeznaczone na konferencje rejonowe, organizowane przez Wydział Oświaty i ZNP. Każdy z nauczycieli



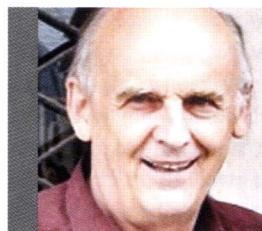
uczył kilku przedmiotów na różnych poziomach. Dla przykładu, w ramach pół etatu nauczalem języka polskiego w klasie V, historii w klasie VIA i VIB, geografii w klasach szóstych oraz byłem wychowawcą klasy VIA. Drugie pół etatu to zniżka z tytułu opiekuna harcerstwa. Zajęcia pozalekcyjne odbywały się w ramach organizacji harcerskiej, Szkolnego Koła PCK, SKO i Szkolnego Koła TPPR oraz biblioteki szkolnej. To czas stalówek i atramentu,

kaligrafii, pierwszych długopisów. Szczęściarze mogli zobaczyć pierwszy czarno-biały obraz telewizyjny. Wyposażenie szkoły w pomoce dydaktyczne było bardzo skromne. Pamiętam, że koleżanka ucząca fizyki przynosiła na lekcje niektóre pomoce, wypożyczone ze Szkoły Podstawowej nr 6 w Łomży. Pobory nauczycielskie były niskie, według tabeli uwzględniającej staż pracy. Nauczyciel rozpoczynający pracę w tym roku otrzymywał do 31 grudnia 660 złotych,

od stycznia po podwyżce dla nauczycieli 720 złotych. Wszyscy starsi nauczyciele w okresie powojennym otrzymywali po 500 złotych. Żartowali, że przed wojną pensja nauczyciela wynosiła 120 złotych, ale za 80 złotych można było kupić krowę i to w dobrej kondycji. Pomimo trudności, tego roku nigdy nie zauważyłem u nauczycieli zniechęcenia, a dzieciaków i młodzież nie opuszczała radość życia.

ZYGMUNT ZDANOWICZ

Co kryje się za klasztorną furtą łomżyńskich Benedyktynek?



ADAM SOBOLEWSKI

Historia pewnej fotografii

W październiku 2011 r. otrzymałem list od Janka Sulewskiego z Koszalina, którego ojciec śp. Adam Sulewski (1915-1994) prowadził spore gospodarstwo rolne, należące do klasztoru Panien Benedyktynek w Łomży. Z listu dowiedziałem się, że krowami, świniami, kurami i innym drobnym żywym inwentarzem zajmowały się siostry Marta i Fortunata oraz spoza zakonu – „przemile panie Władzia i Czesia”.

Do listu Janek dołączył niezwykłą reprodukcję zdjęcia, które w drugiej połowie kwietnia 1947 r. wykonał znany wtedy fotografik ś.p. Józef Filipowicz. A propos: jego rodzina od wielu lat mieszka w USA, a młodsza jego siostra Cecylia od 1 maja 1954 r. sprawowała w klasztorze Benedyktynek przez wiele lat funkcję kustoszki, bibliotekarki i maszynistki (pani od pisania na maszynie). Od Janka Sulewskiego wiem też, że przełożona klasztoru ksieni Maria Bałazy pochodziła z Łomży, gdzie mieszkał jej rodzony brat Aleksander Bałazy. Na zdjęciu widać Marię Bałazy i Adama Sulewskiego, trzymającego za uzdy dwa wspaniałe, amerykańskie mustangy. W głębi zdjęcia widoczne są mury odbudowywanych ze zniszczeń wojennych zabudowań klasztornych.

Oto niewielki fragment „Kroniki Panien Benedyktynek Opactwa Świętej Trójcy w Łomży (1939-1954)”, spisanej przez Stanisławę Piesiewiczównę, w zakonie siostrę Alojzję: „6-7 kwietnia 1947 r. (...) W drugi dzień Wielkanocy Przewielebna Matka Ksieni wyjechała do Gdańska po odbiór koni, które nam przysłał jakiś dobrodziej z Ameryki, chcąc przyczynić się w ten sposób do odbudowy naszego klasztoru. Odebrać musi osobiście sam adresat. Dzień się dni nie było Przewielebnej Matki w domu”.



Polecam bardzo „Kronikę Panien Benedyktynek Opactwa Świętej Trójcy w Łomży (1939-1954)” siostry Alojzy. Kronikę wydało w 1995 r. Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej i Opactwo Trójcy Przenajświętszej Mniszek Benedyktynek w nakładzie około 2000 egzemplarzy. Wstęp do tej niezwykłej kroniki opracowała dr Donata Godlewska.

Stanisława Piesiewiczówna (1902-1971), w zakonie siostra Alojza, opisała fakty, na które osobiście patrzyła lub brała w nich udział w czasie wojny, okupacji sowieckiej i niemieckiej oraz w czasie zniewolenia. Wiele przez nią opisywanych wydarzeń nadal jest pomijanych

lub świadomie fałszowanych w najnowszej historii Łomży. Szczególnie dotyczy to okupacji sowieckiej i okresu, gdy Łomża od 13 września 1944 r. do 20 stycznia 1945 r. była w tzw. strefie frontowej. W wyniku kilkakrotnych barbarzyńskich bombardowań podczas II wojny światowej kościół i klasztor był niemal doszczętnie zniszczony. Jego heroiczna wręcz odbudowa trwała przez dziesięć lat, podczas których Benedyktynki stale zabiegały, by ich klasztor nie był zlikwidowany.

Byłem świadkiem kilku wydarzeń z okresu, który siostra Alojza nazwała czasem zniewolenia. W latach 1945-1950 mieszkalem

przy Senatorskiej 5 (teraz 7), później przy Dwornej 15 (teraz 37). Razem z kolegami śledziłem odbudowę groty Najświętszej Marii Panny z Lourdes, kościoła św. Trójcy i klasztornych zabudowań. Benedyktynki pracowały w przyklasztornym gospodarstwie ogrodniczym. Spore zaś klasztorne gospodarstwo rolne prowadził Adam Sulewski ze swoją rodziną. Stasiak, jeden z jego trzech synów, był moim rówieśnikiem, młodszy zaś o kilka lat Janek był harcerzem w mojej drużynie przy Szkole Podstawowej nr 4 w Łomży. Pamiętam dobrze wysokiego, wielce sympatycznego sprzedawcę warzyw i kwiatów z klasztornego ogrodu. Był on dobrze znany na Starym i Zambrowskim Rynku. Niestety, jego imienia i nazwiska już nie pamiętam.

Wielu łomżaniaków z szacunkiem odnosiło się do panien Benedyktynek za ich skromne i pracowite życie zakonne, skryte za rozległymi murami klasztoru. W latach 1925-1939 prowadziły one internat dla dziewcząt, udzielały prywatnych lekcji, zajmowały się ziołolecznictwem, hafciarstwem, opiekowały się ubogimi i potrzebującymi. Przed świętami Bożego Narodzenia w furcie zakonnej można było otrzymać za niewielki datek tradycyjny świąteczny opłatek. Podczas Wielkiego Tygodnia i Świąt Wielkanocnych do kościoła Świętej

Trójcy przychodzili wierni nawet z odległych dzielnic Łomży i jej okolic. Modlili się przed Grobem Pańskim dekorowanym w bardzo oryginalny sposób. Podziwiać wtedy można było śpiew Benedyktynek i recytacje psalmów. Nabożeństwa majowe i czerwcowe przed

grota Najświętszej Marii Panny to temat na odrębne wspomnienia.

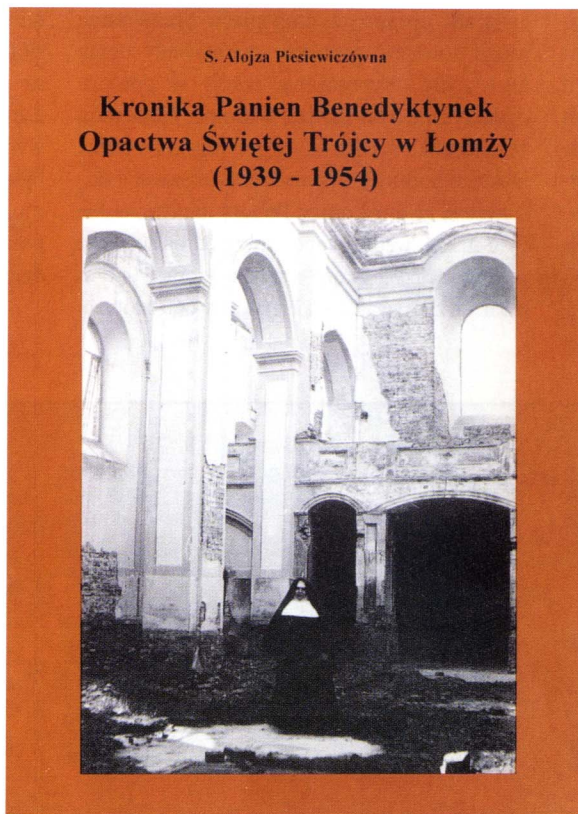
W klasztornym archiwum zachowały się zdjęcia i dokumenty, które powinny pojawić się w drugim, poszerzonym wydaniu Kroniki Panien Benedyktynek Opactwa Świętej Trójcy w Łomży. Oczekując na to wydanie, proponuję publikowanie fragmentów Kroniki.

ADAM SOBOLEWSKI

Z listu Benedyktynek do autora tekstu:

Serdecznie dziękujemy za piękny tekst o Matce Alojzie i naszym klasztorze. Jest nam przyjemnie, że ktoś o nas ciepło myśli i te myśli przesyła dalej. Pan Bóg Wszechmogący niech Panu nagrodi już tu na ziemi, a później wieczną radością z przebywania z Nim. Warzywa i kwiaty pomagał nam sprzedawać po wojnie i w latach późniejszych zacny Pan Antoni. Zmarł w latach siedemdziesiątych. Pan Adam Sulewski zmarł na zapalenie płuc około połowy lat dziewięćdziesiątych, jego żona Kazimiera – kilka lat wcześniej. Syn Stanisław wyjechał do Niemiec, Józef i córka Teresa do Warszawy, Janek prawdopodobnie na południe Polski (być może do Katowic, inni mówią o Koszalinie), córki Joanna i Elżbieta zostały w Łomży. Dom, w którym mieszkali obok klasztoru, został rozebrany, gdyż groził ruiną.

Serdecznie pozdrawiamy w Panu.
Sieradz, 17 marca 2020 r.



Dotykanie dawnej łomży

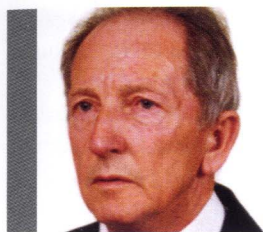
Na Starym Rynku trwają wykopaliska. Odkryto już relikty średniowiecznego ratusza. Teraz odsłaniany jest tajemniczy obiekt. Oto pięknie zachowane okrągłe zagłębienie o profilu kielicha, starannie wybrukowane mocno wyszlizganymi kamieniami (pewnie było długo użytkowane). Być może to tylko poidło dla koni, ale chyba warte zachowania i wyeksponowania w nowej nawierzchni rynku, podobnie jak odkryte resztki średniowiecznego ratusza. A może jest to obrukowane źródło, z którego czerpano wodę. Mogło ono być przyczyną takiego, a nie innego wytyczenia rynku jako centrum miasta. Znalazłem analogię – Płock – tam również wytyczono rynek w miejscu, gdzie było źródło. Czy to nie piękne?

Tekst i fot.

PRZEMYSŁAW KARWOWSKI



LESZEK STAROSTKA



RODZINNE PAMIĘTANIE

Z dreszczykiem emocji, a także złością, grzebiąc w rozległej korespondencji, opisuję długotrwały i waleczny epizod z życia mojej Mamy. Była to droga wyboista, usiana kamieniami, a dotycząca odzyskania własności, tj. połowy Jeziora Toczyłowskiego (50 ha) w pow. Grajewo. Są to wspomnienia pełne negatywnych wrażeń, do których niechętnie wracam.

Po powrocie z zesłania na Syberię w kwietniu 1946 r. moja Mama skierowała do sądu w Grajewie pozew o ustalenie własności, powołując dwóch świadków, z Boguszy i Toczyłowa, wsi leżących nad jeziorem. Sąd pozwu nie przyjął. Wobec tego świadkowie pozostawili oświadczenia, potwierdzające własność mojej Mamy, poświadczane przez wójta gminy Bogusze. Od marca 1946 r. obowiązywał dekret Bieruta (...) Na tym etapie sprawa stanęła. Mimo beznadziei, moja Mama nadal jednak walczyła o swoje, prowadząc rozległą korespondencję z wieloma instytucjami. Moi rodzice, po przyjeździe z Białorusi do Stawisk w roku 1938, nabyli połowę Jeziora Toczyłowskiego od właścicielki p. Śluckiej, z zamiarem kupna drugiej połowy w przyszłości (ze względów

finansowych) od p. Cukermana (brata p. Śluckiej – Żydzi zginęli w czasie wojny).

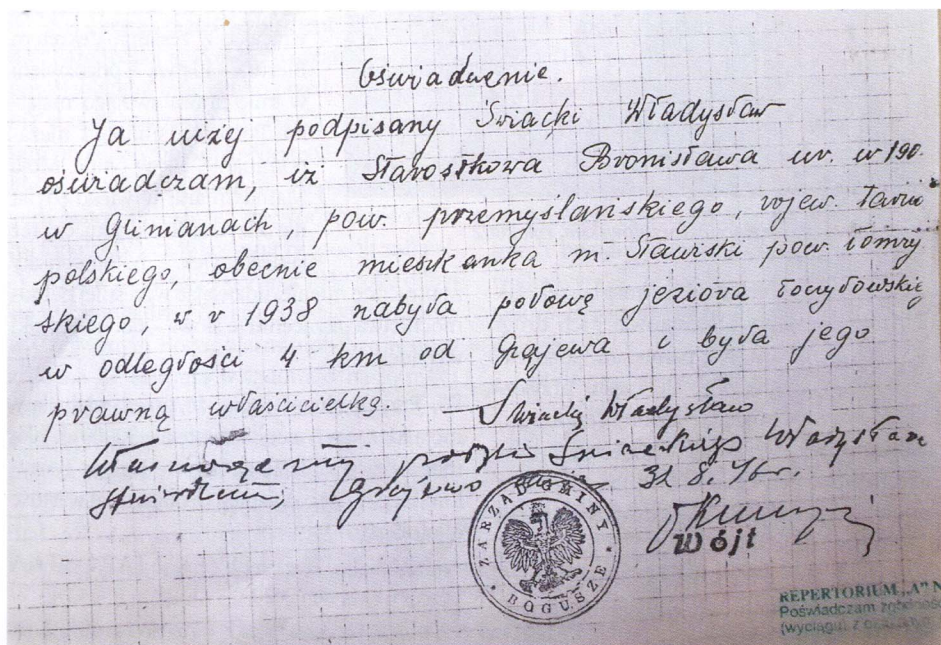
21 czerwca 1941 r. o północy walenie w drzwi, słowa „Odkrywaj, bystrej” i zapamiętane na zawsze długie bagnety na karabinach rosyjskich bojów, 15 – 30 minut na spakowanie, 30 kg bagażu, płacz dzieci, bezradność kobiet, ojciec w aresztach NKWD. Racjonalnego myślenia nie było. Zabrać akt własności i inne dokumenty – takiej myśli nie było.

Po powrocie z zesłania trzeba było odtwarzać wszystkie dokumenty, np. że powódka była mieszkanką m. Stawiski, że była obywatelką polską, że była nauczycielką itd., i tylko na podstawie zeznań dwóch świadków. Oryginalne dokumenty zaginęły. Zaginął też akt własności jeziora – był nie do odzyskania, stąd pozew do sądu i powołanie świadków. Od roku 1932 nie istniał obowiązek wpisu aktu notarialnego w miejscu położenia nieruchomości. Zaczęła się korespondencja z sądami w Łomży, Grajewie, Białymstoku, Elku, Archiwum Akt Nowych, Nadleśnictwem Białystok. „Brak aktów notarialnych z lat 1938-1939”, poinformował sąd w Łomży.

Jako nauczycielka, Mama po powrocie z zesłania czyniła starania o odzyskanie utraconej nieruchomości między innymi przez Wydział Prawny Zarządu Głównego ZNP, uzyskując odpowiedź, że majątek przejęło Państwo Polskie Dekretem z 08.03.1946 r. jako mienie opuszczone (czyli niczyje), z zapisem o rekompensatach w terminie późniejszym (korespondencja z 19.11.1968 r.). Czyżby właściciele opuścili majątek, wyjeżdżając na pięcioletnią, wymarzoną wycieczkę na Syberię, a powracając z niej, z własnej winy, spóźnili się o półtora miesiąca (wrócili 25.04.1946 r., kiedy dekret już obowiązywał)? To chichot historii.

Przejęcie nastąpiło w czasie przymusowej nieobecności właścicieli, przed ich powrotem do kraju, z naruszeniem i pogwałceniem prawa własności. Kto był prawomocnym właścicielem tej nieruchomości – nie ustalono. Jeziorem administrowało Państwowe Gospodarstwo Rybackie w Rajgrodzie. Przejęło je w użytkowanie w wyniku scalenia gruntu jako mienie opuszczone, bez uwzględnienia prawowitych właścicieli, na zasadzie likwidacji własności prywatnej i przejęcie tej nieruchomości na własność społeczną.

Po zmianie ustroju i zapowiedzi z wielką pompą reprivatyzacji, w dn. 23.10.1990 r. w dzienniku TVP rzeczniczka prasowa rządu premiera T. Mazowieckiego M. Niezabitowska powiedziała, że „wystarczy zeznanie dwóch świadków w sprawie przywrócenia własności”. Moja Mama, w wieku 87 lat, w pełni optymizmu i nadziei, postanowiła ponownie czynić starania o przywrócenie własności, ewentualnie uzyskanie rekompensaty za utracone mienie. Ducha walki o swoje nie straciła i w roku 1990 złożyła pozew do Sądu Wojewódzkiego w Suwałkach. I tu zaczęły się schody. Wprawdzie już istniały sądy niezawisłe, tyle że inaczej. Już wtedy można było przewidzieć, że powództwo zostanie oddalone i nie zasługuje na uwzględnienie. W Polsce krążyło powiedzenie, że „do sądu idzie się po wyrok, a nie po sprawiedliwość”, budzące śmiech i litość. Okazało się, że informacja z dziennika telewizyjnego była





Nad Jeziorem Toczyłowskim, rok 1938: od lewej moja Mama, brat mojej Mamy, p. Rojewski – nauczycielka, mój Ojciec, p. Rojewski – nauczyciel ze Stawisk

ordynarną propagandą i zwykłym oszustwem. Powódka nie korzystała z pomocy prawnej, nie operowała językiem prawniczym, co w uzasadnieniu sądu zabrzmiało, że „żąda, narażając Skarb Państwa na straty”. Jezioro Toczyłowskie w tym okresie było niczyje. Nie było w zasobach własności Skarbu Państwa. W rozpoznaniu 23.01.1995 r., sprawa z powództwa B. Starostki toczyła się przeciw Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa Oddział Terenowy w Suwałkach o ustalenie prawa własności. Jezioro Toczyłowskie zostało przekazane w trwały zarząd Agencji przez Urząd Marszałkowski Województwa Podlaskiego dopiero w dniu 11.09.2005 r. Dla sądu abstrakcją jest przedłożenie zeznań świadków po kilkudziesięciu latach, ludzi starych, schorowanych. Normalnym biegiem jest ich coraz mniej albo wcale. Natura sama ich wyeliminowała. Przesłuchanie ich w latach pięćdziesiątych było niemożliwe, a w dziewięćdziesiątych niedopuszczalne (korespondencja z sądu z Krakowa). Upływ czasu sprawił, że prawowitych właścicieli jest coraz mniej, pozostali tylko ich spadkobiercy. Po wejściu do Unii Europejskiej winniśmy uporządkować sprawę własności prywatnej (ewentualnie rekompensat). Polska jest państwem prawa (konstytucja). Własność moich rodziców nie przeszła na Skarb Państwa do 11.09.2005 r. Dekret z 08.03.1946 r. to rabunek mienia prywatnego. Dochodząc swojego, byli właściciele czuli się dotknięci, czuli się jak kłamcy i złodzieje. Ustawa o reprivatyzacji została zablokowana przez Prezydenta RP A. Kwaśniewskiego.

Przedstawiam zeznanie p. M. Garlickiej ze wsi Bogusze, zamieszkałej tuż nad jeziorem, której mąż był strażnikiem tego jeziora. Marianna Garlicka, wiek około 90 lat, zeznaje: „W Toczyłowie zamieszkuję od 1923 roku, wcześniej mieszkałam w Boguszach. Znałam Starostków. Widziałam ich tutaj często. Widywałam również ich dzieci. Mieli dwóch synów.



Autor z synową nad Jeziorem Toczyłowskim, rok 2002

Wiem, że jeden z nich miał na imię Leszek. Jak mieli na imię starzy Starostkowie i ich drugi syn – nie pamiętam. Nie pamiętam, gdzie zamieszkiwali Starostkowie, ale często przyjeżdżali. Przyjeżdżali oglądać jezioro. Jezioro Toczyłowskie było wcześniej własnością Żydów Cukermanów. Żyd Cukerman miał to jezioro na połowę z siostrą Słucką. Starostkowie kupili to jezioro właśnie od Słuckiej. Nie pamiętam, w którym roku kupili go. Było to przed II wojną światową, przed moim wywiezieniem do Niemiec. W 1940 roku mnie wywieźli do Niemiec.

Nie wiem, za ile kupili Starostkowie ani w jakiej formie nabyli tę własność. Od czasu jak kupili połowę jeziora, często tutaj przyjeżdżali”.

Świadek Borkowski zeznaje: „W Boguszach mieszkam od urodzenia. Starego Starostkę znałem dobrze, ale on zginął zamordowany przez Niemców. Nie pamiętam, jak on miał na imię. Pamiętam, że przed wojną w Boguszach kupił las i jezioro. Jezioro to było własnością dwóch Żydów. Nie pamiętam ich nazwisk. Jeden z tych Żydów połowę tego jeziora, od strony Bogusz i działkę leśną, sprzedał Starostce. Nie wiem, ile zapłacił za tę część jeziora i las. Wiem, że to były duże pieniądze. Część lasu Starostka wyciął na budowę domu, ale nie wybudował go, bo przyszła wojna. Po kupieniu jeziora, Starostka wynajął stróża. Nazywał się Borkowski Jan, był moim dalekim kuzynem, ale nie żyje. Żyje jego syn – Czesław Borkowski i zamieszkuje koło Węgorzewa. Nie wiem, w jakiej formie Starostka kupił tę część jeziora. Wiem tylko, że kupił połowę jeziora od strony Bogusz”.

Zeznania innych świadków są podobne.

Kilka słów i uwag o wyroku Sądu Wojewódzkiego w Suwałkach. Podobno z wyrokami się nie dyskutuje. W wyroku, w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, z dnia 24.01.1995 r. czytamy między innymi: nie wiadomo od kogo kupili, kiedy kupili, w jakiej formie i za jaką cenę. Czyżby Sąd przeoczył zeznania świadków, przecież ich zeznania są proste i jasne, a niektóre pytania sądu niezasadne. Stawiam pytanie – po co są świadkowie zeznający pod przysięgą?

Ludzie, którzy przeszli tragiczną drogę i zostali okrutnie doświadczeni przez historię, wywiezieni na Sybir w nieludzkich warunkach, umierający w pociągach, sparaliżowani strachem, odarci z godności, pozbawieni dokumentów, mienia, całego dorobku życia, powracając z zesłania dekretem Bieruta – klątwą – pozbawieni w imię prawa swojego majątku. Pozostaje smutek i niezapominanie, jak w tytule. Moja Mama zmarła w wieku 91 lat nie odzyskując majątku, czy też jakiegokolwiek rekompensaty

za utracone mienie, udzielając wcześniej pełnomocnictwa piszącemu te słowa – tak na wszelki wypadek.

PS. Przypominam sobie, że przed wielu laty, moja Mama wymieniła kwotę ok. 30000 zł, jaką moi rodzice zapłacili za połowę Jeziora Toczyłowskiego i coś o dolarach (1 dolar miał wartość około 5 zł).

LESZEK STAROSTKA

Olsztyn, kwiecień 2020

JOANNA BANASIAK

O Leokadii Gorlińskiej, położnej z Wygody

Życie wśród ludzi (3)

Czas wojny

Zapytałam kiedyś babcię, dlaczego nie nosi żadnej biżuterii, nawet obrączki ślubnej. Odpowiedziała, że takowej nie posiada, gdyż część, między innymi pierścionek zaręczynowy oraz biżuterię, którą miała po mamie, oddała w 1936 roku na Fundusz Obrony Morskiej.

Z zebranych wtedy pieniędzy wybudowano w Holandii okręt podwodny ORP „Orzeł”. Resztę biżuterii, tę, którą dostała od dziadka oraz obrączkę ślubną, oddała na Fundusz Obrony Narodowej w 1938 lub 1939 roku. FON w zamian za złote obrączki dawał żelazne.

Ofiarodawców było tak wielu, że uruchomiano nowe punkty odbioru darów. Wiem, że babcia przez jakiś czas pracowała jako wolontariuszka. Ludzie ofiarowywali cenne obrazy znanych polskich malarzy, porcelanę angielską i miśnieńską oraz drogą biżuterię. Jak pisały gazety, zbiórka przeszła najśmielsze oczekiwania. Wyczuwało się wśród ludzi niepokój i obawę przed wojną. Dowództwo lotniska dostawało rozkazy, aby zrobić przegląd techniczny samolotów, tak aby w każdej chwili były gotowe do startu.

Na miesiąc przed wybuchem wojny dziadek kazał babci spakować pamiątki rodzinne, porcelanę oraz inne cenne przedmioty. Skrzynię z nimi zakopał pod trzecią topolą, którą sam przed laty posadził. Niestety, nigdy potem nie udało się kufra odnaleźć. Po powrocie z Syberii babcia przekopała miejsca pod wszystkimi topolami, lecz w tajemniczy sposób zniknął.

W nocy z 23 na 24 sierpnia 1939 roku odbył się w 13. eskadrze, do której należało lotnisko w Czerwonym Borze, alarm próbny, a w nocy z 26 na 27 sierpnia wylądowało na lotnisku dziewięć samolotów z Okęcia. Uczestniczyły one we wrześniu 1939 roku w działaniach Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”.

Wraz z wybuchem wojny dziadek otrzymał rozkaz ewakuacji do Brześcia. Wraz z nim i obsadą stacji meteo wyruszyła cała rodzina. W drodze dotarła do nich wiadomość o napaści ZSRR na Polskę i o zbliżających się wojskach

rosyjskich. Postanowiono, że rodzina ze względów bezpieczeństwa wróci do Wygody. Tuż przed miejscowością Równe dziadek zatrzymał kolumnę samochodów i w jednym z nich umieścił babcię wraz dziećmi, sam zaś udał się w dalszą drogę. Babcia wróciła do Wygody, a dziadek dołączył po kilku tygodniach, po ogłoszeniu demobilizacji.

Po ustaleniu linii demarkacyjnej pomiędzy okupantami Wygoda znalazła się pod okupacją rosyjską, natomiast rodzinne strony babci pod niemiecką. W części zajętej przez Rosjan zaczęły się aresztowania przez NKWD wojskowych, policjantów i inteligencji. Aby uchronić przed nimi dziadka, babcia wysłała go do swojej rodziny

w Ogonach koło Ostrołęki.

Wujek Antoni Śledziwski wspomina, że po przybyciu dziadka rodzice przebrali go w cywilne ubranie, a wszystkie odznaczenia wojskowe, w tym Virtuti Militari, włożyli do puszek po cukierkach i kazali schować u kuzynów w sąsiedniej miejscowości, na strychu, gdzieś pod dachem. Kilka lat później wujek przeszukał miejsce, gdzie schował puszkę, ale niestety nie odnalazł jej. Dziadek wytrzymał w Ogonach tylko około trzech tygodni. Z relacji wujka wynika, że bardzo tęsknił za rodziną i obawiał się o jej los.

Rodzina była znów w komplecie, ale ze względów bezpieczeństwa postanowiła przenieść się z Wygody do miejscowości Wyrzyki. Zamieszkali w domu państwa Gosków. Babcia pracowała, odbierała porody na terenie całej parafii Puchały.

Każde pojawienie się NKWD w okolicy budziło strach, nawet dzieci nauczyły się

rozpoznawać żołnierzy i alarmowały dorosłych. Tak też było w maju 1940 roku, kiedy zauważyły żołnierzy w lesie. Dziadek, przeczuwając zagrożenie, ukrył się w zabudowaniach gospodarczych. NKWD-ziści przyszli do domu i od razu o niego zapytali. Nie chcieli uwierzyć babci, że nie wrócił na noc i po godzinie przeszukiwania zabudowań odnaleźli go. Wraz z dziadkiem aresztowali również innych mężczyzn: cywilów Michała Goska i Stanisława Modzelewskiego oraz Okurowskiego, który był wojskowym. Rodzina tego dnia widziała się z mężem i ojcem po raz ostatni.

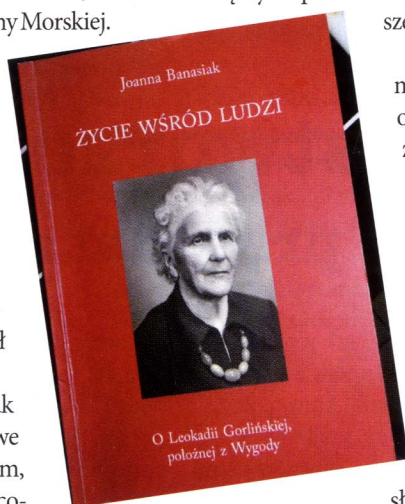
Wywózka

Po aresztowaniu dziadka babcia dowiedziała się, że jest na liście do wywózki na Sybir i zaczęła się ukrywać. Przeniosła się do miejscowości Gać, gdzie dzieci zamieszkały osobno u znajomych. W każdej wsi zaufana osoba wiedziała, gdzie babcia się ukrywa, gdyż mimo wojny dzieci przychodziły na świat i potrzebna była położna. Rodzina widywała się tylko na niedzielnej mszy w kościele w Puchałach. W którąś niedzielę babcia zauważyła u dzieci wszy, wzięła je pomimo niebezpieczeństwa do domu, aby zrobić porządek z włosami. Po usilnych prośbach dzieci, czyli mojej mamy i wujka, którzy stęsknieni za matką chcieli choć jedną noc z nią pobyc, zostawiła je na noc.

Następnego dnia, 18 czerwca 1941 roku, we wczesnych godzinach rannych do pokoju weszli funkcjonariusze NKWD. Oznajmili babci, że wraz z dziećmi będzie wywieziona na Syberię i rozkazali się pakować. Czasu nie było dużo, aby zgromadzić to, co może się przydać, ale i dobytku też niewiele. Są-

siedzi, powiadomieni o nieszczęściu, pospieszyli z pomocą, przynosząc różne rzeczy, a przede wszystkim żywność.

Po godzinie pod dom podjechała ciężarówka, na której były już inne, znane babci rodziny. Zapakowano ludzi i bagaże i zawieziono



OGOŃCZYK
Herb rodu Ogonowskich

na stację kolejową w Czerwonym Borze. Tak blisko ich domu i lotniska, gdzie pracował dziadek. Na stacji czekał już specjalny pociąg towarowy, który powoli zapełniał się ludźmi. W wagonach umieszczano po około siedemdziesiąt osób. Zwózka zesłańców trwała prawie przez cały dzień. Ludzie byli przestraszeni, dzieci płakały, chciały wyjść na zewnątrz, bawić się, nie wiedziały, co się wokół dzieje. Wśród nowo przywożonych była też znajoma babci, pani Franciszka Modzelewska z Wygody wraz z dziećmi.

Po załadunku wszystkich pociąg ruszył, kierując się na wschód. W Wołkowysku do zesłańców dotarła wiadomość o napaści Niemiec

na ZSRR. Niedługo potem doświadczyli tego na własnej skórze, gdyż pociąg był kilkakrotnie atakowany przez samoloty niemieckie. Po jednej z tych strasznych nocy współtowarzysze niedoli zobaczyli babcię i byli zszokowani: osiwała w jedną noc, stała się biała jak gołąbek. Nikt nie mógł uwierzyć, że coś takiego może się zdarzyć. Wtedy też babcia zauważyła u siebie pierwsze oznaki bielactwa. Na jej ciele zaczęły pojawiać białe plamy, pigment zaczął zanikać.

W czasie jednego z nalotów część zdesperowanych zesłańców próbowała uciekać z pociągu. Eskorta otworzyła do nich ogień, niektórzy zostali zastrzeleni i więcej już takich ucieczek nie próbowano.

Warunki w wagonach były okropne, panował zaduch, smród niemytych ciał, ciasnota. Najgorzej było w nocy, gdy brakowało miejsca do spania. Dzieci ciągle płakały. Czas spędzano na modlitwie i śpiewaniu pieśni religijnych. Brakowało wody do picia. Czasami w czasie postoju pozwalano, by kilka osób z wagonu wyszło po wodę. Zdarzało się, że sami eskortujący przynosili wrzątek do wagonów.

Po ponad miesiącu podróży transport dotarł do Omska. Po wyładunku wszyscy zostali umieszczeni w budynku cyrku. Następnego dnia, po przydzieleniu do różnych miejsc, nastąpił kolejny etap tułaczki. Cdn.

JOANNA BANASIAK



KRISTYNA BORKOWSKA

Sobie stworzeni, ludziom przeznaczeni

Choć nie pochodziła z Łomży, znała tu wielu ludzi z barwnych, przepełnionych tęsknotą i miłością do rodziny opowiadań jej męża Stanisława, a mieszkańców Jednaczewa znała jak rodzinę, najbliższych sąsiadów, przyjaciół. W trudnym czasie przemierzała kawał nieznanego, obcego świata.

Janina Borkowska, z domu Wysocka, urodziła się w 1926 roku w Czerwonogrodzie. Jako małe dziecko, osierocona przez matkę, nie знаła miłości ani od ojca, ani macochy, ani od siostr zakonnych, u których w sierocińcu przez kilka lat przebywała. Przesiedlono ich rodzinę z Czerwonogrodu na wieś w okolicy Brzegu nad Odrą, w województwie opolskim.

W grudniu 1942 roku, w drodze do domu wujka, trafiła na łapankę i jako 16-letnia dziewczyna została wzięta do przymusowej pracy w niemieckiej wytwórni amunicji w pobliżu Koblenz. Do końca wojny pracowała przy spawaniu elementów bomb. Wtedy nie wiedziała, do czego będą służyły spawane elementy. Po wyzwoleniu, wraz z koleżankami, w 1945 roku trafiła do obozu „Gniezno” dla wysiedlonych. W 1947 roku zaproponowano im osiedlenie w Anglii, gdziekolwiek w brytyjskim imperium lub powrót do ojczyzny. Wybrały Anglię, gdzie też nie było lekko. Dostały przydział pracy w charakterze tkaczek i przydział zamieszkania oraz kartki żywnościowe, które pomogły przeżyć trudny czas powojenny.

Janina z koleżankami szukała spotkań, organizowanych dla przesiedleńców. Najpierw było to uczestnictwo w Mszy świętej po polsku przy parafii St. Patrick. Przy parafii były

organizowane potańcówki. Tam właśnie poznali się Janina Wysocka i Stanisław Borkowski, pochodzący z Jednaczewa koło Łomży. Po jakimś czasie wierni z Polonii zakupili własny kościół p.w. Matki Boskiej Częstochowskiej i tam spotykała się coraz liczniejsza grupa przesiedleńców. Czuli się zjednoczeni, poznawali się, nawiązywali kontakty.

11 czerwca 1949 roku Janina i Stanisław wzięli ślub i zostali w Anglii, żyjąc w wielkiej

tęsknocie za ojczyzną i rodziną. Zamieszkali jako lokatorzy w domu byłego żołnierza polskiego II Korpusu, kaprała Dudy, który ze swoją rodziną był dla nowożeńców wielkim wsparciem. Kiedy po kilku latach, 21 lutego 1954 roku, urodził się im syn Kazimierz Ryszard, jego matką chrzestną została Ksenia, starsza córka państwa Dudów.



Sudoku – ulubione zajęcie Śp. Janiny Borkowskiej

Ciężko pracując zbierali pieniądze na własne mieszkanie, nie zapominając o swojej rodzinie w Polsce.

W 1955 roku kupili dom w Bradford, wybudowany w 1912 roku w cichej, spokojnej dzielnicy, niedaleko parku Manningham. Była to zabudowa szeregową 24 domów; ich mieszkańcy byli bardzo życzliwymi i pomocnymi ludźmi.

Tęsknotę i zapamiętane obrazy z życia w rodzinnym domu przed wojną Stanisław dzielił z żoną Janiną, opowiadając jej barwnie o rodzicach, rodzeństwie i mieszkańcach Jednaczewa. Z tych opowieści wypływało wiele miłości do rodzinnego domu i ojczyzny. Janina w wyobraźni poznawała jego przyjaciół, bliskich i starała się pomagać rodzinie męża. Każdemu z rodzeństwa w Polsce przygotowywała i wysyłała paczki. Wszyscy obdarowani byli wdzięczni za pomoc, jednocześnie wiedzieli, jaki to jest wielki wysiłek z ich strony. Stryjenka pamiętała o wszystkich członkach rodziny, rocznicach ślubu, o urodzinach dzieci rodzeństwa, później o wnukach i prawnukach. To ona zawsze pierwsza wysyłała kartki urodzinowe z „wkładeczką”, kartki jubileuszowe z okazji rocznicy zaślubin, pisała listy do rodziny, żyła jej radościami i smutkami. Pamiętała o wszystkich bratankach i siostrzeńcach męża, a potem o wnukach i prawnukach z imienia i daty urodzin. Zapraszała do siebie do Bradford rodzeństwo i rodzinę męża, gościła ich z wielką serdecznością i pomagała, obdarzając prezentami.

Pierwszy raz do Polski przyjechała z mężem i synem Kazikiem w 1967 roku. Rodzice Stanisława już nie żyli, nie doczekali spotkania z synem i jego rodziną. Mama Antonina zawsze modliła się o powrót syna z wojny, gdyż nie miała żadnych wiadomości, nie знаła jego losów, cierpiała bardzo na myśl, że on nie żyje. Modliła się, płakała, tęskniła i wyglądała powrotu. Tuż po wojnie przychodziła do ich domu pewna znajoma z kobietą, która kilka razy stawiała karty, mówiąc „On żyje”. Mama nie chciała słuchać tych przepowiedni, unikała wróżenia, nie słuchała tych słów, tylko ciągle wierzyła w Opatrzność Bożą, w zamyśleniu i smutku modliła się i płakała. Jeszcze przed swoją śmiercią dostała wiadomość, że ich syn żyje, że pozostał w Anglii. Była wdzięczna Panu Bogu za życie swego syna i powrót z wojny. Wiadomość, że on żyje, całą rodzinę bardzo ucieszyła.

W Polsce z utęsknieniem na spotkanie czekały cztery siostry: Jadwiga, Zosia, Halina, Jasia i brat Wojciech z rodzinami. Ponieważ Polska była ciągle pod władzą sowiecką, Stanisław postanowił wyrobić sobie i Janinie obywatelstwo brytyjskie (syn Kazimierz urodził się w Anglii, więc był już obywatelem tego kraju), aby wykluczyć możliwość zatrzymania ich w Polsce przez władze komunistyczne. Złożył podanie o obywatelstwo dla siebie i oczekiwał na dalsze

decyzje. Pewnego wieczoru przyszedł detektyw z policji, by przeprowadzić wywiad. Jego zainteresowanie wzrosło gdy dowiedział się, że Stanisław przed wojną pracował w policji konnej. Bez żadnych przeszkód otrzymał obywatelstwo. Wtedy o obywatelstwo brytyjskie wystąpiła Janina i również została zaprzysiężona królowej Elżbiecie II. Mogli zacząć planować podróż do Polski na lipiec 1967 roku. Trwała prawie dwa dni. Pierwszego dnia pociągiem do Londynu, potem do portu Harwich, dalej statkiem. Przez noc dopłynęli do portu Hoek den Holland w Holandii, potem przeładunku znowu do pociągu, podróż na wschód przez Holandię, Niemcy Zachodnie, Niemcy Wschodnie (niezapomniane było skrupulatne sprawdzanie paszportów przez straż graniczną NRD) i wreszcie do Warszawy. Na dworcu w Warszawie miał ich oczekiwać brat Wojciech, ale jakimś trafem się rozminęli. Jeszcze jedna dla nich przeładunku do pociągu relacji Warszawa – Łomża i nareszcie dotarli do siostry Zofii, która mieszkała w Łomży. Po jakimś czasie dotarli i Wojciech z Warszawy. Ponowne spotkanie braci było pełne wzruszeń, wspomnień, radości i łez. Po obiedzie opowieściom nie było końca... Po jakimś czasie wszyscy zauważyli brak braci Staszka i Wojtka... Zaczęli rozglądać się i szukać po mieszkaniu, aż z sypialni usłyszeli głośne chrapanie. Zmęczenie podróżą zmogło ich tak, że obaj zasnęli.

Celem wizyty było Jednaczewo, dom rodzinny Stanisława. Zostali tu serdecznie przyjęci przez brata Wojciecha i bratową Stasię, którzy z pięciorgiem dzieci mieszkali w domu sprzed wojny. Wojciech prowadził gospodarstwo. Wszyscy, również goście z Anglii, uczestniczyli w pracach polowych, zwłaszcza przy żniwach. W Jednaczewie były dwie zamężne siostry Stanisława – najstarsza Jadwiga i najmłodsza Janina, więc spotkań rodzinnych i radości było wiele. Ich dzieci wiedziały o sobie dużo, ale spotkanie z bratem stryjczym z Anglii było dla wszystkich czymś nowym. Kazik, syn Stanisława i Janiny, mówił pięknie po polsku, gdyż rodzice od wczesnych lat prowadzali go w każdą sobotę do polskiej szkoły. Potem w szkole

średniej jako język obcy wybrał również polski, zdając go jako przedmiot maturalny, choć wyznał, że język polski jest bardzo trudny. Jego rodzice w bibliotece domowej zgromadzili cały zbiór lektur, m.in. Adama Mickiewicza, Henryka Sienkiewicza, Jana Kochanowskiego, Juliusza Słowackiego i wiele innych cennych pozycji. Już wtedy, jako 13-latek,

kiedy był z wizytą u rodziny, docenił, że może porozumieć się z rodzeństwem i ze wszystkimi. Wtedy nikt z rodziny w Polsce nie miał możliwości nauki języka angielskiego, więc nawiązanie bliższych relacji byłoby trudne.

Wieczorami, po ciężkiej pracy w polu, spotykali się z sąsiadami i znajomymi. Janina znała ich tylko z opowiadań swego męża, a po osobistym spotkaniu poczuła się tak, jakby ich znała od lat. Wybrali się w podróż pociągiem do Opola, a stamtąd do rodziny Janiny na wsi koło Brzegu nad Odrą. Mieszkał tam jej starszy brat Władek z rodziną i ojcem Wojciechem.

Z uwagi na trudne i smutne dzieciństwo Janiny, ponowne spotkanie z ojcem nie było zbyt ciepłe ani serdeczne. Jednak chciała tam pojechać i zobaczyć się z nim pomimo żalu, który nosiła w sercu. Po powrocie do Anglii dalej pisała listy do brata i bratowej i zawsze ich wspomagała.

Stanisław na wyprawę do rodziny zabrał aparat fotograficzny Pentacon i wiele klisz. Fotografował całą podróż do Polski i pierwsze spotkania z rodziną. Dziwił się, jaka to wyjątkowa klisza, że tak dużo zdjęć zrobił. Dopiero po dwóch tygodniach zmienił kliszę, ale dopiero po powrocie do Anglii okazało się, że... klisza była źle założona i żadne zdjęcie się nie udało. Był bardzo rozczarowany, ale i tak zrobił sporo kolorowych zdjęć z pobytu, co pozostało piękną pamiątką dla całej rodziny.

Wojciech, który pozostał na gospodarstwie, chciał podzielić się z bratem schedą po rodzicach; myślał, jak może go spłacić. Rodzina Wojciecha, licząca pięcioro dzieci, z gospodarki żyła bardzo skromnie. Stanisław to dostrzegł, zabronił bratu myśleć o spłacie. Powiedział, że największym majątkiem Wojciecha są jego dzieci, a on nic nie chce.



Śp. Stanisław Borkowski

Po pięciu tygodniach pobytu przyszedł czas powrotu, tą samą drogą i też prawie przez dwa dni. Jak wspominał Kazik, byli znowu obladowani, ale tym razem prezentami od rodziny. Wieźli kryształ (piękne i ciężkie jak diabli), sześć litrów miodu z pasieki w Jednaczewie, zestaw srebrnych sztućców oraz trzy litry polskiego spirytusu. Torby wrzynały się boleśnie w ramię, ale trzeba było dowieźć na miejsce. Stanisław po powrocie do Anglii rozcieńczał spirytus i częstował krewnych i znajomych.

W 1968 roku przyjechał do Polski samochodem z bratem ciotecznym Adamem i jego żoną Isą ze Szkocji. Pobyt był nieco krótszy, bo dwutygodniowy. Dwa lata później ponownie całą rodziną odwiedzili Polskę. Tym razem byli 6 tygodni w Jednaczewie, Łomży, u siostry Halinki z rodziną w Sopocie oraz u rodziny Jadvigi w Brzegu n/Odrą. Spotkania, jak przed trzema laty, były przy suto zastawionych stołach, przy napojach niekoniecznie bezalkoholowych, pełne rozmów i wspomnień o przeżyciach, radościach i smutkach.

Syn Stanisława Kazimierz miał wtedy 16 lat. Nawiązywał znajomości z młodzieżą. Był obiektem westchnień wielu dziewczyn z Jednaczewa i nie tylko. Był roztropnym i myślącym młodzieńcem. Nie podobało mu się to, co się działo w Polsce, jakich trzeba było dokonywać sztuczek, żeby coś przyziemnego załatwić. Był tym oburzony i nie mógł zrozumieć, jak można spod lady sprzedawać podstawowe artykuły, chociażby piłeczki pingpongowe. Oburzyła go sytuacja w pociągu. Mieli wykupione miejscówki, a konduktor zażyczył sobie łapówkę, by otworzyć przedział i wpuścić na wykupione miejsca. Kazika to bardzo zabolowało, zabronił rodzicom dopłacania do kieszeni konduktora i całą drogę przestali na korytarzu, oburzeni i zmęczeni. Kazik wtedy powiedział, że nie zgadza się z takimi praktykami i takim postępowaniem z ludźmi, że do Polski, dopóki się nie zmieni ustrój, więcej nie przyjedzie. Słowa dotrzymał, przyleciał ze swoją rodziną i mamą Janiną dopiero po 28 latach.

Trzeci przyjazd był ostatnią podróżą Stanisława do Polski. Po rozeznaniu sytuacji materialnej rodziny, jego żona Janina pomagała krewnym w kraju, wysyłając paczki z pomocą. Wielką pomocą w tamtych czasach były ubrania dla dzieci i dorosłych, materiały na garnitury,

artykuły spożywcze, słodczyce dla dzieci, przyprawy, kawa, rodzynki, czekolada w proszku. Wysyłali również lekarstwa i artykuły medyczne, w komunistycznej Polsce niedostępne albo bardzo drogie. Każdą paczkę Stanisław starannie pakował, zabezpieczał, zawiązywał sznurkiem i zalepiał węzły czerwonym lakiem. To mało pomagało, paczki były przeszukiwane przed dostarczeniem do adresata, czy nie ma w nich rzeczy zakazanych. Nie zawsze wszystkim dochodziło do obdarowanej rodziny. Jak wspomina jego syn Kazik, Janina była cudowną mamą i żoną, troszczącą się bardzo o swoją rodzinę, była też bardzo pracowita. Kiedy był dzieckiem opiekowała się nim, pozostając w domu. Dorabiała jako krawcowa, przychodziło do niej mnóstwo ludzi, była ceniona za to, że umiała doradzić, uszyć i pięknie wykończyć każdą rzecz. Szyła sukienki, garsonki, jesionki, garnitury. Była również świetną gospodynią i kucharką. Jej potrawy zawsze zachwycały domowników i gości. Była bardzo ciepłą i gościnną osobą, do której wszyscy lgnęli.

Teraz wspomnienia o nich rodziny z Polski:

Janina była bardzo prostolinijna, co miała na sercu, to mówiła wprost, bez ogródek, białe to białe, czarne to czarne. Nie owijała w piękne słowa, jeśli coś było nie tak. Mówiła wprost, bez żadnej urazy, a było to zawsze trafne i cenne spostrzeżenie. Umiała z każdym nawiązać kontakt, miłą rozmowę i z małym dzieckiem, i z młodzieżą, i osobą dorosłą, jak też mądrze doradzić. To właśnie dzięki Niej rodzina Borkowskich z Polski znów ożyła, to dzięki Niej nawiązały się bliskie kontakty i spotkania całej rodziny, to dzięki Niej cała rodzina zjednoczyła się, służąc sobie pomocą, wzajemną troską i chęcią spotykania się, a tym bardziej poznania się dzieci, wnuków i prawnuków.

Stanisław był bardzo przystojnym, prostolinijnym i spokojnym mężczyzną, z głęboko zakorzenioną wiarą katolicką. Regularnie uczestniczył w Mszy świętej, nie szukał pierwszeństwa (jak to określił jego syn), nie zajmował się życiem politycznym polskiego społeczeństwa w Bradford, lubił pomagać w klubie parafialnym i w Klubie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Robił to, co było potrzebne i dobre, bez wywyższania się. Był bardzo skromnym, a jednocześnie lubianym i szanowanym członkiem społeczności. Kiedy syn Kazik

zapisał się do polskiego harcerstwa, Stanisław zaczął jeszcze bardziej udzielać się społecznie, pomagając harcerzom i widząc w tym cel i wielką chęć pomocy przy budowaniu harcerskiego ołtarza na Boże Ciało, czy też stoisk na festynach parafialnych, gdzie udział swój zgłosili harcerze. Pomagał przy organizowaniu obozów harcerskich. W 1974 roku był opiekunem hufca harcerzy na dwutygodniowym obozie stałym. Komendantem tego obozu był Jego syn, choć nie miał jeszcze wymaganych przepisami 21 lat. Stanisław poświęcił 2 tygodnie swego urlopu, by pomóc harcerzom. Podszedł do tego wyzwania bardzo ambitnie, bardzo dużo pomógł. Kierował kuchnią oraz zastępem służbowym. Gotowanie na ognisku nie było łatwe. Zwłaszcza, że kucharzem był 14-letni harcerz. Udało się im obu przygotować dość smaczne posiłki. Stanisław był zawsze chętny do podejmowania zadań, służących dobru społeczności, a Kazik poszedł w Jego ślady. Po wyborach Naczelnej Rady Harcerskiej w 1982 roku, służył z Ryszardem Kaczorowskim – prezydentem RP na uchodźstwie, który w tym czasie był przewodniczącym Związku Harcerstwa Polskiego poza granicami kraju.

Losy Stanisława od czasu wybuchu II wojny światowej.

Stanisław Borkowski, syn Antoniny i Józefa, urodził się 30 stycznia 1914 roku w Łomży, jako drugi z sześciorga dzieci. Zanim trafił do Anglii, przeszedł z armią Andersa cały szlak wojenny, kończący się walkami o Monte Cassino.

Przed wybuchem II wojny światowej pracował w Warszawie w policji konnej. We wrześniu, po najeździe na Polskę wojsk niemieckich, został skierowany do obrony kraju. Przed wyjazdem na wschód, Jego oddział uczestniczył w Mszy świętej. Opiekę nad końmi powierzono ułanowi Stanisławowi Borkowskiemu. W tym czasie nadleciały niemieckie bombowce. Wybuchy bomb spłoszyły konie, które zerwały się i rozpiechły. Wiele wysiłku musiał włożyć, by je zebrać i uspokoić... To wtedy przerażony koń kopnął go w twarz, doznał złamania lewej szczęki policzkowej.

Ciąg dalszy – w następnym wydaniu „Wiadomości...”

Przepraszamy

panią Elżbietę Piasecką-Chamryk i pana Wojciecha Chamryka za niezamierzone, anonimowe i – zdaniem pana Wojciecha – wielokrotnie wykorzystanie ich dzieł na łamach naszego pisma. Na usprawiedliwienie sytuacji, do której nie powinno dojść mamy jedynie to, że zdjęcia, które pobraliśmy z internetu także tam nie były podpisane. Ustawa z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych (Dz.U.

z 1994 r. nr 24, poz. 83), w art. 4 ustęp 4 mówi m.in.: „nie stanowią przedmiotu prawa autorskiego proste informacje prasowe” (por.: A. Karpowicz „Autor – Wydawca. Poradnik prawa autorskiego”, Warszawa 1999 str. 28). Również art. 25 wspomnianej ustawy mówi, iż wolno rozpowszechniać w celach informacyjnych w prasie, radiu i telewizji: już rozpowszechnione sprawozdania o aktualnych wydarzeniach (także kulturalnych), aktualne artykuły i wypowiedzi na tematy polityczne,

gospodarcze i społeczne, aktualne zdjęcia reporterskie, krótkie wyciągi ze sprawozdań, artykułów i wypowiedzi, przeglądy publikacji i utworów rozpowszechnionych, mowy wygłoszone na publicznych zebraniach i rozprawach oraz krótkie streszczenia rozpowszechnionych utworów. Jednakże, w pełni respektujemy państwa prawo do obrony własnych dzieł. Życzymy dalszych sukcesów twórczych.

Redakcja WE

KAROLINA SKŁODOWSKA



DRUK Z KAMIENIA

O sztuce litografii Witolda Warzywody

Witold Warzywoda, autor najnowszej wystawy w Galerii Sztuki Współczesnej w Łomży, od lat uprawia litografię. Jest to artystyczna technika druku płaskiego, w której odbitkę uzyskuje się z rysunku wykonanego na wypolerowanej płycie wapiennej (kamieniu litograficznym) przy pomocy specjalnych tuszy i kredek zatłuszczających powierzchnię. Po wykonaniu rysunku stosuje się odpowiednie zabiegi chemiczne w celu utrwalenia go i zabezpieczenia miejsc niezarysowanych. Odbitka powstaje przy użyciu prasy litograficznej dzięki wykorzystaniu zjawiska przyjmowania farby przez natłuszczone (zarysowane) fragmenty kamienia i odpychania farby przez fragmenty nienatłuszczone. Technika litografii pozwala osiągnąć efekty imitujące miękkość rysunku lub rozlewność akwareli. Należy dodać, że uzyskanie barwnych odbitek wymaga przygotowania odrębnych matryc dla każdego koloru.

Wynaleziona u schyłku XVIII wieku technika nie ma tajemnic przed Witoldem Warzywodą. Opanował wszystkie jej tajniki i wydobył nowe możliwości wyrazowe, które po mistrzowsku wykorzystuje do ukazania złożoności ludzkiej natury. „Artysta – jak zauważa dr Dariusz Leśnikowski – penetruje bardzo szerokie spektrum doświadczeń człowieka, jego świadomości, wyobraźni i egzystencjalnych niepokojów oraz sferę otaczającą go zewnętrzną rzeczywistości. Czini to, wpisując się w szeroko pojęty nurt myślenia metaforycznego. Mimo, że jego twórczość zakorzeniona jest z pewnością w bardzo otwartej formule realizmu, obejmującej i wierność obserwowanej rzeczywistości, i poetycki sposób odwzorowywania otaczającego świata, i kreacyjne tendencje realizmu magicznego, to eksploruje także obszary właściwe refleksji semiotycznej oraz wkracza w sferę mitu, symbolu i metafory”¹.

Na łomżyńskiej wystawie znalazły się 44 barwne litografie pochodzące głównie z następujących cykli graficznych: „Bałucki Rynek” (1982), „Kamienie” (1985-86), „Portrety” (1987), „Rozmyślanie o jesieni” (1991-94), „Obiekty. Cytaty z Biblii” (2003-2005). Prace odznaczają się wielowarstwową narracją i bogactwem odniesień, które wykraczają daleko poza indywidualną sferę przeżyć i doświadczeń kierując naszą uwagę na uniwersalne prawdy dotyczące ludzkich instynktów, niepokojów i kompleksów. Wielką zaletą wystawionych dzieł jest wysublimowana kolorystyka oraz nastrój – refleksyjny i tajemniczy z ożywczą nutą ironii wprowadzającą niezbędną dystans do przedstawianych kwestii.

Rozbudowany zestaw tematów ogranicza możliwość opisanie wszystkich wątków, podjętych przez autora. Zachęcam zatem do wizyty w galerii i spojrzenia na jego niezwykle litografie z osobistej perspektywy.

Witold Warzywoda urodził się w 1956 roku w Łowiczu. Jest absolwentem Wydziału Grafiki i Malarstwa Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi (obecnie ASP im. Władysława Strzemińskiego). Dyplom w zakresie grafiki warsztatowej uzyskał w 1981 roku w Pracowni Technik Litograficznych prof. Jerzego Grabowskiego, aneks w Pracowni Technik Drzeworytniczych prof. Andrzeja Bartczaka oraz w Pracowni Rysunku prof. Leszka Rózgi. Autor, redaktor i wydawca (Studio WW Witold Warzywoda) publikacji artystycznych i literackich, kurator Galerii Amcor w Łodzi. Uczestnik licznych wystaw w kraju i za granicą. Laureat konkursów graficznych i nagród za działalność dydaktyczną, organizacyjną oraz wyjątkowe osiągnięcia artystyczne. Od 1981 roku pracuje jako wykładowca na macierzystej uczelni, od 2004 kieruje Pracownią Technik Litograficznych na stanowisku profesora nadzwyczajnego. Mieszka w Łodzi.

Litografia należy do technik graficznych chętnie wykorzystywanych przez artystów dwóch minionych stuleci. Stosował ją Alfons Mucha, Henri de Toulouse-Lautrec, Marc Chagall, Pablo Picasso, Stanisław Wyspiański, Leon Wyczółkowski. Warto dodać, że Muzeum Północno-Mazowieckie w Łomży może poszczycić się posiadaniem litografii autorstwa ostatniego z wymienionych twórców, słynnego malarza, pastelisty i grafika. Nosi ona tytuł „Konela” i pochodzi z „Teki Ukraińskiej” (2012 r.), jednej z kilkunastu serii litografii

Wyczółkowskiego poświęconych rodzimym krajobrazom i architekturze miejskiej. Kompozycja przedstawia widok ukraińskiego miasteczka z jeźdźcem na pierwszym planie i cerkwią w tle. Oszczędna w charakterze praca nosi znamiona ekspresyjnego szkicu rysunkowego. Do zbiorów muzeum trafiła w 2010 roku na podstawie zapisu testamentowego Jadwigi Barbary Chylińskiej (1925-2010), urodzonej w Łomży doktor nauk technicznych, autorki wielu prac naukowych, patentów i artykułów, która w tak niezwykle sposób potwierdziła swą miłość do rodzinnego miasta.

¹ Dariusz Leśnikowski, Witold Warzywoda, Litografia barwna, <http://www.galeriaamcor.pl/wystawy/warzywoda/wystawa.html>



Nadzieja, lit. Barwna, 1987. © Grzegorz Gwizdon

Jako 24-latek zadebiutował wystawą malarstwa w rodzinnej Łomży. Dziś to jedna z najważniejszych postaci artystycznych Chicago...



DANUTA WAŚKO

URODZONY W SZTALUGACH

Mój syn Krzysztof Waśko urodził się 31 lipca 1970 roku w Łomży. Wychowywał się w muzykującej rodzinie Witkowskich. Dziadek był pierwszym nauczycielem muzyki swoich wnuków. Uczęszczał do Szkoły Podstawowej nr 5 na ulicy Polnej i do Liceum Ogólnokształcącego. Jednocześnie uczył się w Państwowej Szkole Muzycznej I i II Stopnia w Łomży (I stopień – akordeon, II stopień – altówka). Gdy zdawał maturę, w Łomży utworzono Oddział Zamiejscowy Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie i syn zdecydował się studiować na kierunku Wychowanie Plastyczne. Namawialiśmy go na kształcenie w kierunku muzycznym, ale postanowił inaczej.

Po dwóch latach studiów w Łomży zdecydował się zdawać do Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, na wydział malarstwa. Komisja kwalifikacyjna, po przejrzeniu prac 70 osób starających się o przyjęcie na studia, odrzuciła 35.



Krzysztof Waśko w swojej pracowni, pośród obrazów z cyklu poświęconego Chopinowi

Po egzaminie teoretycznym i praktycznym przyjęto na wydział malarstwa 9 osób, w tym Krzysztofa. Studiował pod kierunkiem Andrzeja Klimczoka-Dobrzeńckiego. Po pierwszym roku studiów zaczął wystawiać swoje prace w galeriach wrocławskich: „Na Placu Solnym”, w Salonie Sztuki Współczesnej „Na Odwachu”. W późniejszym czasie brał udział w wystawach zbiorowych, a także wystawiał indywidualnie. Od roku 1991 do 1994 było takich wystaw dosyć dużo.

Po drugim roku studiów starał się o indywidualny tok nauczania (dwa lata w jednym roku). Zgodę taką otrzymał. W czasie studiów we Wrocławiu jeździł co roku w czasie wakacji do USA. Ponieważ wracał na czas, nie miał trudności z następnymi wyjazdami. Tam pracował i jednocześnie chodził do szkół artystycznych dopytywać o możliwość studiowania na tamtejszych uczelniach, rozmawiał i pokazywał slajdy swoich prac. Ponieważ wszędzie jego prace się podobały, to ostatecznie przekonało go, że warto stawić czoła nowym wyzwaniom.

W tym czasie jego dwie starsze siostry mieszkają w Chicago. Jolanta studiowała w Polsce w Akademii Muzycznej w Poznaniu, gdzie uzyskała tytuł magistra sztuki. Następnie wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, gdzie w 1993 roku otrzymała stypendium American Conservatory of Music w Chicago, a rok później otrzymała stypendium Roosevelt University w Chicago. Siostra Marta studiowała w The School of the Art Institute of Chicago na kierunku rzeźba. Spędzał wakacje z siostrami i wracał do Polski. Po trzecim roku studiów we Wrocławiu zdecydował się na wyjazd do Chicago. Wziął urlop dziekański, bo nie wiedział jak się wszystko dalej potoczy. W Stanach musiał najpierw zlifować język angielski, by zdać egzamin państwowy – to był warunek każdej uczelni. Zapisał się więc na Uniwersytet of Illinois w Chicago. Przez sześć godzin dziennie, cztery razy w tygodniu, nauka tylko w języku angielskim. W klasie dziesięć osób różnej narodowości, sala bez okien, by nie rozpraszać uwagi. Po trzech miesiącach zaliczało się bądź nie kolejny

Jan Kulka – on line.



Po raz pierwszy w historii Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jana Kulki gala jego podsumowania i honorowanie laureatów odbyły się on line. Jury w składzie: Tomasz Bąk, Marek Kucak, Paweł Podlipniak po zapoznaniu się z tekstami poetyckimi 154. autorów, którzy nadesłali swoje prace na 18. edycję konkursu, w kontakcie telefonicznym i internetowym – jak powiedział szef jury Paweł Podlipniak – z niemałym trudem postanowiło przyznać następujące nagrody:

- I Nagrodę w wysokości 2000 zł, ufundowaną przez Zakłady Spożywcze BONA w Łomży za zestaw wierszy – Piotrowi Piątkowi z Kołobrzegu, godło „paciorki inne artefakty”;
- II Nagrodę w wysokości 700 zł, ufundowaną przez Spółdzielnię Mieszkaniową „Perspektywa” w Łomży oraz Łomżyńską Spółdzielnię Mieszkaniową w Łomży, przyznaną za zestaw wierszy Elżbiecie Galoch z Turka, godło „amator zielonych jabłek”, postanowiono odebrać

stopień. A ponieważ nauka była bardzo droga, Krzysztof po zaliczeniu trzech stopni postanowił przystąpić do egzaminu i... zdał! Należy dodać, że zarówno siostry jak i Krzysztof musieli zarobić, by studiować. Cała trójka przebywała legalnie na wizach studenckich. Krzysztof był kelnerem, barmanem, kierowcą (zrobił prawo jazdy w Ameryce), malował na jedwabiu w niewielkiej fabryce, rozwodził gazety.

Mógł studiować na różnych uczelniach w Bostonie, San Francisco, ale siostry przekonały go do studiowania w Chicago. Ostatecznie wybrał prestiżową uczelnię Columbia College w centrum Chicago, w której uczy się ok. 15 tysięcy osób. Rodzeństwo wynajęło dom w dzielnicy uniwersyteckiej i zamieszkało razem. Krzysztof został przyjęty na IV rok wydziału malarstwa. Jego profesorem był Max King Cap. Studia na tym wydziale ukończył w 1997 roku. Interesował się także fotografią i rozwijał swoje zainteresowania pod kierunkiem prof. Debry Levi. W celu poszerzenia wiedzy na temat fotografii podjął naukę na Wyższych Specjalistycznych Studiach Magisterskich pod kierunkiem sławnej profesor Barbary Kasten.

W czasie studiów wystawiał swoje prace w różnych galeriach, między innymi: Calor Jonem Galery Chicago, Eclectic Junction Chicago, Scope Art New York, Chicago Cultural Center. Na lotnisku w Chicago można było oglądać billboard PPL LOT o wymiarach 2 x 8 m, który wykonał Krzysztof na zamówienie tej firmy.

W roku 1999 zwrócił się z prośbą do władz uczelni we Wrocławiu o umożliwienie mu ukończenia studiów i obrony pracy magisterskiej. Bardzo chciał mieć dyplom z uczelni, której dużo zawdzięczał, w której wiele się nauczył i mógł z powodzeniem realizować swoje dalsze plany. Prośba została zaakceptowana, Krzysztof został absolwentem Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu i obronił pracę magisterską. W ramach obrony pracy, wystawił swoje prace malarskie i fotograficzne w galerii „Pasaż” we Wrocławiu.

Od 25 lat mieszka w Chicago, gdzie pracuje, maluje, fotografuje i wystawia swoje prace

na wystawach indywidualnych i zbiorowych. Często wspólnie z siostrą Martą organizują wystawy w różnych galeriach. On wystawia swoje obrazy, ona rzeźby w alabastrze, odlewy w brązie połączone z metalem.

W roku 2007 Krzysztof wystawił swoje prace w Galerii Sztuki Współczesnej Muzeum Północno – Mazowieckiego w Łomży. Wystawa była zbiorem obrazów olejnych na płótnie oraz akryli i monotypii na papierze, pochodzących z różnych okresów jego twórczości. Część z nich została przywieziona specjalnie na tę okazję z Chicago, pozostałe pochodziły ze zbiorów rodziny i przyjaciół, którym były wcześniej darowane. W czasie łomżyńskiej wystawy za oceanem można było obejrzeć jego prace także na wystawach w Tower Peace Chicago Cultural Center, Kasia Kay Art Project Chicago oraz ekspozycji w Chicago History Museum i Laredo Art Center w Teksasie.

W roku 2004 Krzysztof z Martą przyjeżdżają do Polski, by zabrać rodziców do Rzymu na spotkanie z Papieżem Janem Pawłem II. Wyjazd stał się inspiracją do stworzenia cyklu wizerunków Matki Bożej, w różnych aspektach, między innymi: Madonna Szepczących Aniołów, Madonna Ukraińska czy Madonna Głodu. Obrazy były wystawiane w różnych galeriach. W tym czasie w Muzeum Historii w Chicago trwały przygotowania do wystawy „Katolickie Chicago”. Przygotowania tej wystawy trwały trzy lata. Kurator Jill Grannan zwróciła się do Krzysztofa z prośbą o namalowanie obrazu. Krzysztof namalował dość spory wizerunek Madonny chicagowskiej – Madonna Chicago, który był eksponowany w 2008 roku na wystawie związanej z historią katolicyzmu. Jej wizerunek zawiera elementy godła Chicago oraz symbole przywołujące cechy charakterystyczne miasta. Z prawej strony Indianin wyraża pierwszych mieszkańców tej ziemi, statek z lewej strony symbolizuje handel, a serce na piersi Madonny, to wspomnienie wielkiego pożaru miasta. Po zakończeniu

wystawy (15.03. 2008 – 04.01. 2009) Krzysztof подарował ten obraz muzeum.

Podarował również 78 czarno-białych zdjęć kościołów i budynków dzielnicy West Town, na stałe chroniąć urok, jaki posiadały jeszcze w okresie przed jej nowoczesną rozbudową. Zdjęcia tych budowli robił w trakcie pisania prac magisterskich na wydziałach malarstwa i fotografii. Nie myślał wtedy o ich wartości historycznej. Projekt fotograficzny „Chicago w fotografii” był wystawiany w Muzeum Ameryki, a następnie włączony do stałej kolekcji Muzeum Historii Chicago. Warto wspomnieć, że to muzeum nie eksponuje ani nie kolekcjonuje prac młodych i żyjących artystów, dlatego Krzysztof czuje się zaszczycony, że jego prace zostały tak wyróżnione.

Rok 2009 – wystawa zorganizowana w Ośrodku Sztuki w Lare-do, w Teksasie.

W roku 2011 fundacja charytatywna „Dar Serca” zwróciła się do artystów z apelem o wspomnienie jej działalności na rzecz ciężko chorych dzieci. Fundacja umożliwia leczenie dzieci z Polski i innych krajów. Krzysztof i Marta odpowiedzieli na ten apel. Odbyła się wystawa, na której były wystawiane prace ponad 30 artystów. Część prac przekazano jako donacje, a część była wystawiona do sprzedaży. Rok 2012 – wystawa indywidualna



Katarzyna Caryńska z Sopotu – laureatka nagrody Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej

z powodu naruszenia regulaminu (kwota przechodzi na następną edycję konkursu);

- III Nagrodę w wysokości 600 zł, ufundowaną przez Miejski Dom Kultury – Dom Środowisk Twórczych w Łomży za zestaw wierszy – Rafałowi Baronowi z Gdańska, godło „cisowianka”.
- IV Nagrodę Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łomży w wysokości 500 zł za zestaw wierszy – Marianowi Lechowi Bednarkowi z Czernicy, godło „bulka”.
- IV Nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej w wysokości 500 zł za zestaw wierszy – Katarzynie Caryńskiej z Sopotu, godło „helix pomatia”. Serdeczne gratulacje od Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej.
- Nagrodę Prezydenta Miasta Łomży za zestaw wierszy o tematyce łomżyńskiej w wysokości 1000 zł – Aleksandrze Jokiel z Bralina, godło „margines”.

Zdaniem szefa jury nie był to łatwy wybór, uzależniony od gustów poetyckich każdego z jurorów. Nadesłane teksty można podzielić na trzy grupy. Pierwsza pod tytułem „Grafomania nigdy nie umiera”. Druga grupa skupia autorów na początku swojej drogi poetyckiej, którzy już próbują coś powiedzieć, ale mają jeszcze niedostatki w sposobie formowania myśli poetyckiej. W grupie trzeciej, najważniejszej znajdują się twórcy, którzy już wiedzą jak i wiedzą co chcą powiedzieć. Ich teksty różnią się bardzo formą i stylistyką. Każdy juror wypunktował dziesięć najlepszych jego zdaniem prac i z tej grupy wyłoniono w finale laureatów.

Najlepsze wiersze w trakcie gali honorowania laureatów 18. edycji konkursu czytał aktor Teatru Lalki i Aktora w Łomży Tomasz Bogdan Rynkowski.

Już po ogłoszeniu wyników okazało się, że laureatka II nagrody złamała regulamin, bo przysłała

na konkurs już wcześniej nagrodzone i publikowane wiersze. Dlatego jury odebrało jej nagrodę.

Organizatorzy dziękują uczestnikom i jurorom, a zwycięzcom gratulują!

FUNDATORZY NAGRÓD XVIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jana Kulki: Zakłady Spożywcze BONA w Łomży, Łomżyńska Spółdzielnia Mieszkaniowa, Spółdzielnia Mieszkaniowa „Perspektywa” w Łomży, Miejski Dom Kultury – Dom Środowisk Twórczych w Łomży, Miejska Biblioteka Publiczna w Łomży, Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, Prezydent Miasta Łomży (nagroda za wiersz o tematyce łomżyńskiej).

SPONSOR GŁÓWNY KONKURSU: Zakłady Spożywcze BONA.



Kolejna wystawa Krzysztofa w Centrum Sztuki na Halsted w Chicago

w Centrum Sztuki w Chicago pn. „Współczesna interpretacja klasycznego portretu”.

W pewnym czasie działała w Chicago ich własna Galeria Waśko. M.in. miała w niej miejsce wystawa „Tu i Teraz”, przedstawiająca miasto za pomocą dużych obrazów i rzeźb naturalnej wielkości. Krzysztof maluje różnymi technikami, Marta tworzy w drewnie, kamieniu, brązie, gipsie i innych materiałach. Często łączy te materiały z metalem.

Rok 2017. Krzysztof wykonał projekt tablicy w brązie, poświęconej „The Harlem Renaissance”, która zainstalowana jest na ulicy w Chicago. Wzdłuż ulicy Halsted ustawione są tablice z brązu – swoiste muzeum na powietrzu. Wszystkie dotychczas wykonane tablice były stworzone w oparciu o stare fotografie, udostępnione przez muzea, natomiast tablica zaprojektowana przez Krzysztofa jest jedynym oryginalnym projektem, wykonanym przez współczesnego artystę na zamówienie miasta. Odsłonięcie tablicy było ważnym wydarzeniem kulturalnym. Były władze Chicago, różne osobistości, mieszkańcy miasta i wszelkie media. Krzysztof podpisał oficjalne przekazanie tablicy na rzecz miasta jako darowiznę.

Rok 2019. Grażyna Auguścik, znana wokalistka jazzowa mieszkająca w Chicago, zwraca się do Krzysztofa z prośbą o namalowanie obrazów tematycznie związanych z Fryderykiem Chopinem w celu uatrakcyjnienia festiwalu „Chopin in the City”, czyli Chopin w mieście. Pani Grażyna jest organizatorem corocznego festiwalu o tej nazwie we współpracy z Konsulatem Generalnym RP w Chicago i Ministerstwem Kultury i Sztuki w Polsce. Krzysztof się zgodził i tak powstała seria 25 prac pokaźnych rozmiarów na płótnie i na papierze. W czasie festiwalu przez tydzień odbywały się w różnych salach koncerty utworów Chopina w oryginale, jak również w różnych interpretacjach, np. jazzowych.

Inauguracja festiwalu odbyła się w Centrum na Halsted. W jednej sali była umieszczona wystawa prac Krzysztofa a obok, w następnej sali, odbywał się koncert znanych artystów. W czasie koncertu w tle sceny przesuwali się jego obrazy. Przy okazji wystaw są zawsze media (telewizja, radio, prasa). Obecnie maluje cykl portretów królowej Elżbiety II.

Oprócz uprawiania malarstwa, Krzysztof współpracuje z wieloma korporacjami różnych branż, dla których wykonuje reklamowe projekty

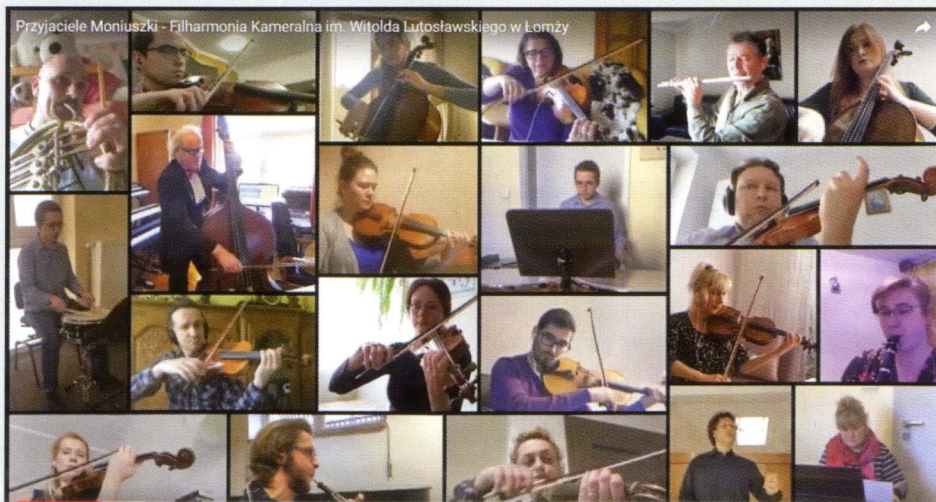
graficzne. Wymienię tylko niektóre: McDONALD's, Paylocity, Trans Union, LG Electronics, Ace Hardware, Oral Health America, Life Fitness, Elite Model, LOT Polish Airlines.

Nie sposób przedstawić całą działalność Krzysztofa, bo to temat rzeka. Staralam się wykazać różnorodność jego zainteresowań, chociaż mam wątpliwości, czy wszystko uchwyciłam. Jego prace znajdują się w różnych muzeach. Wiele prac zostało przekazanych jako darowizny. W zasobach Muzeum Północno – Mazowieckiego w Łomży znajdują się także obrazy Krzysztofa, darowane dużo wcześniej i stosunkowo niedawno.

Krzysztof czuje wielki sentyment do Łomży – miejsca swego urodzenia i miasta, w którym spędził dzieciństwo i młodość. Gdy przyjeżdża do Polski, zachwyca się pięknem i rozwojem Łomży. Gdy miał 6 lat (był rok 1976), nasza rodzina zaczęła wyjeżdżać na Spotkania Muzykujących Rodzin do Wrocławia. Jeździliśmy tam przez wiele lat. Dziadek, Henryk Witkowski, napisał dla wnuków prostą i melodyjną piosenkę „Nasza Łomża”, którą dzieciaki propagowały piękno miasta. Moje dzieci wszędzie podkreślają, że są z Łomży, są emocjonalnie związane z naszym miastem. I to mnie ogromnie cieszy...

DANUTA WAŚKO

■ **KAMERALIŚCI – ON LINE.** Jeśli ktoś myślał, że koronawirus zamrozi łomżyńskich kameralistów, pozostał w błędzie. W sobotę, 25 kwietnia, o godz. 18.30 logując się na www.filharmonia.lomza.pl, nie ruszając się z domu, mieszkańcy Łomży – ale nie tylko – mogli przenieść się m.in. w czarujący świat Neapolu za sprawą... Jacka Szymańskiego i brawurowo wykonanej przez niego pieśni „Santa Lucia”. Pierwszy koncert internetowy okazał się wydarzeniem artystycznym w tym smutnym, zawirusowanym świecie. Były też utwory J. P. Martiniego i Pachelbella. A przy utworze finałowym moje myśli powędrowały na uroczym cmentarzyku zakopiański na Pękowym Brzyzku, gdzie zawsze stajemy przed tablicą ku czci Mieczysława Karłowicza... Jak do tego koncertu doszło? Pozornie wyglądało to bardzo



prosto: każdy z muzyków nagrywał swoje partie indywidualnie i to niekoniecznie w studio. Materiał z tego nagrania trafił potem w ręce realizatora Sławomira Dubowskiego, który po mistrzowsku połączył te wszystkie obrazy i dźwięki udowadniając, że praktycznie nie ma granic ni koronawirusów dla muzyki. Wspaniały koncert, mistrzowsko wykonany i zrealizowany, także w warstwie słownej, w której maestro Jan Miłosz Zarzycki po raz kolejny zachwyił erudycją i przebogatą wiedzą muzyczną. Potwierdził to zresztą już 5 maja, podczas drugiej odsłony koncertu on line. Myśląc o uczczeniu Roku Moniuszkowskiego i 201 rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki (mało kto wie, że jego 42-letni wnuk poległ podczas wojny 1920 roku, śpiesząc z odsieczą wojskom polskim na fortach w Piątnicy i spoczywa na cmentarzu w Miastkowie) dyrektor Jan Miłosz Zarzycki

znów zaprosił do współpracy znakomitego realizatora Sławomira Dubowskiego. Partie wokalne, oparte – jak cały koncert – na muzyce polskiej, powierzył wybitnym sopranistkom: Marcie Wróblewskiej i Katarzynie Rzymskiej oraz Witoldowi Żołądkiewiczowi (baryton). Program tego niezwykłego koncertu, do którego artyści nagrywali swoje partie indywidualnie, pomyślany został jako prezent urodzinowy dla Moniuszki. Oprócz utworów Dostojnego Jubilata z najsłynniejszą bodaj „Prząśniczką”, otwierającą to spotkanie muzyczne, w programie drugiego koncertu internetowego nie zabrakło jednej z najbardziej poruszających melodii, poloneza „Pożegnanie Ojczyzny” Michała K. Ogińskiego, a także archiwalne fragmenty nagrań wcześniejszych różnych koncertów Filharmonii. Niewątpliwie kolejne, bardzo udane przedsięwzięcie łomżyńskich filharmoników.

17 maja Filharmonia Kameralna zaprosiła melomanów na retransmisję koncertu „Cantate Deo”, dedykowanego Papieżowi Polakowi, z okazji 100 rocznicy Jego urodzin. Koncert ten został zarejestrowany w Katedrze Łomżyńskiej 5 czerwca 2016 r. Wystąpiły m.in. połączone chóry z Łomży oraz z Jedwabnego i Ostrołęki. „Vivat Vivaldi” – to kolejne, bardzo udane przedsięwzięcie internetowe łomżyńskich filharmoników. Poprowadził ich Jan Miłosz Zarzycki, a razem z nimi swój kunszt prezentowało aż siedmiu solistów: Anna Maria Staśkiewicz, Piotr Sawicki i Cezary Gójski (skrzypce), Adrian Stanciu (altówka), Zuzanna Sosnowska (wiolonczela) i Sylwester Sobola (obój). Oprócz Vivaldiego, w programie usłyszeliśmy utwory A. Marcelliego, F. Geminianiego, T. Albinoniego, A. Corelliego.

W. KŁOSIŃSKI

Nigdy nie publikowany wywiad z Pierwszą Damą polskiej estrady, najsłynniejszą łomżynianką – tylko w „Wiadomościach Łomżyńskich”

MARTA GOSK



Pamiętki po Pani Hance trafiły do łomżyńskiego muzeum

W 2017 roku zbiory Muzeum Północno-Mazowieckiego wzbogaciły się o ciekawe pamiętki po artystce słynącej z bogatej kolekcji kapeluszy, której mieszkańcom Łomży nie trzeba przedstawiać. Fotografie i inne dokumenty, związane z Hanką Bielicką, przekazała Jagoda Komorowska – ikona stylu w czasach PRL (podobno, gdy marszczyła brew, nie wrócono kolekcji powodzenia). Wraz z pokaźnym plikiem zdjęć otrzymaliśmy od Pani Jagody sympatyczny list, odsłaniający kulisy jej spotkania z Hanką Bielicką, do którego doszło kilkanaście lat temu (prawdopodobnie w 2002 roku) w mieszkaniu aktorki w kamienicy Gustawa Drehera przy ulicy Śniadeckich w Warszawie. Oto fragment tego listu:

„Otóż, kiedy przed laty byłem naczelną redaktor Mody Top, razem z Andrzejem Lajborkiem (aktorem ur. w Grajewie, rocznik 1949 – przyp. red.) byliśmy w domu Pani Bielickiej. Ja, osoba towarzysząca, zrobiłam to z sympatii i możliwości poznania artystki, Andrzej, aktor Teatru Narodowego w Poznaniu, w celu napisania wywiadu. Pani Bielicka przyjęła nas niezwykle serdecznie i na koniec, ciesząc się, że czytelniczki lubianego przez nią kwartalnika zobaczą serię jej zdjęć, obdarowała nas

nimi dość szczerze, zastrzegając jednak, by natychmiast po ukazaniu się numeru je zwrócić. Przyrzekłam, że tak się stanie. Tymczasem życie płatając figle sprawiło, że w krótkim czasie po tej wizycie Moda Top została sprzedana, a nowy właściciel nie wydał już żadnego numeru. Dopiero niedawno (...) odkryłam wśród przeglądanych przeze mnie materiałów redakcyjnych te cenne zdjęcia. (...) Marzyłabym (...), żeby moje nazwisko jako osoby solidnej, która jednak zdjęcia oddała, gdzieś zostało uwidocznione. Jeśli tekst Andrzeja będzie wykorzystany, także i jego nazwisko”.

Spełniając prośbę Jagody Komorowskiej, aby przekazane naszemu muzeum materiały redakcyjne ujrzały światło dzienne, na łamach „Wiadomości Łomżyńskich” prezentujemy nigdy wcześniej niepublikowany wywiad z Hanką Bielicką, przeprowadzony przez Andrzeja Lajborka pt. „Estrada zawsze oznacza samotność”. Rozmowa skupia się na aktorstwie, modzie i życiowym optymizmie, z którymi artystka nie rozstała się niemal do samego końca.

MARTA GOSK

Muzeum Północno-Mazowieckie
w Łomży



Hanka Bielicka.

Fot. Jarosław M. Goliszewski (zbiory MPM w Łomży)



W swoim mieszkaniu w Warszawie. Fot. Jarosław M. Goliszewski (zbiory MPM w Łomży)

Estrada zawsze oznacza samotność

Z Hanką Bielicką rozmawiał Andrzej Lajborek

Wiem z własnego doświadczenia czym jest teatr i estrada. Również dlatego wręcz bałwochwalczo wielbię Panią.

Jeśli pan pochodzi z Łomży, albo z Bielickich, to może pan mnie wielbić...

Żałuję wobec tego, że urodziłem się gdzie indziej, ale rezerwuję sobie prawo do tego wielbienia.

Ależ można mnie nie lubić właśnie za to, co robię, tym bardziej, że się pan na tym zna! Mój profesor, wielki Aleksander Zelwerowicz, w szkole teatralnej powiedział: „Jeśli pani na afiszu odważy się figurować jako Hanka Bielicka, to proszę, aby noga pani już więcej w szkole nie powstała! Już jedna taka była, Ordonka się nazywała!” Biedny, nie przyjmował do wiadomości, że wyrzucona przez niego Ordonka była co najmniej dwa razy bardziej popularna niż on i zawsze dostawała brawa na wejście. W teatrach dramatycznych zdarzało się to tylko Ćwiklińskiej i Kurnakowiczowi, a jemu, choć był wielkim aktorem, nigdy.

Pani była w teatrze dramatycznym piętnaście lat.

To prawda. Debiutowałam w Wilnie 8 października 1939 roku w „Świętoszku” Moliere.

Grałam pokojówkę Dorynę. Znalazłam się tam razem z Danką Szaflarską i Jurkiem Duszyńskim. Chcieliśmy oszczędzić na wynajmowanych pokojach, więc wyszłam za Jurka za męża. Raptem sześćdziesiąt lat temu! Czas tak straszliwie leci, że tylko dziesiątki ogarniam: dziesięć lat temu, dwadzieścia lat temu... Powracając do teatru, stanowiąc on zawsze największą szkołę zawodową każdego aktora, moją również. Sposób budowania postaci, prawda psychologiczna, dyscyplina zawodowa, wieczna gotowość do pracy przydają się ogromnie także na estradzie. Jestem obciążona teatrem w najlepszym znaczeniu tego słowa. Nie umiem improwizować, ani pisać tekstu. Dostaję tekst i „robię” go. Stwarzam postać.

Kiedy zrezygnowała Pani z dramatu na rzecz lżejszego teatru?

Proces następował stopniowo, aż w końcu Sempoliński zaangażował mnie do „Żołnierza królowej Madagaskaru”. Poszłam do dyrektora Axera i powiedziałam mu o moim odejściu. Rozstałam się z Teatrem Współczesnym nie bez bólu i łez. Już wtedy czułam, że wbrew pozorom estrada to wielka samotność. Z teatru jednak nie zrezygnowałam, poszłam na czterdzieści pięć lat

co prawda do innego, ale jednak teatru! Zrobiłam sobie próbę pogodzenia teatru dramatycznego z rozrywkowym i zagrałam Dulską, choć nie jestem przekonana, czy byłam w niej dobra, czy to rola naprawdę dla mnie. Nawiasem mówiąc, cała literatura sceniczna ogromnie preferuje panów, dla nich są najlepsze do zagrania role. Ile jest naprawdę wielkich ról dla nas? Dziesięć, może piętnaście. Ten dramat aktorek szczególnie widoczny jest w literaturze polskiej. Proszę zobaczyć: w tym, co pisze Fredro, Bliziński, Bałucki, aktorki mają tylko role drugoplanowe, służą za tło dla mężczyzn. Na szczęście w „Syrenie” tego nie było, scenariusze pisano z reguły na potrzeby tej sceny.

W „Syrenie” zawsze miała Pani piękne kostiumy. Kto je tworzył?

Scenografów i kostiumologów w ciągu tak wielu lat przewinęło się sporo. Utkwił mi w pamięci Stańczak, pani Xymena Zaniewska, Tatiana Kwiatkowska. Teatr rozrywkowy, rewiiowy, musi być przecież bardzo widowiskowy. Wydaje mi się, że takim był.

Jak powstawały Pani kreacje estradowe i te słynne kapelusze?

Wszyscy się o to pytają! Miałam w „Syrenie” rzeczywiście piękne kostiumy, a ich integralną częścią były kapelusze. Mało tego, z reguły kapelusze było więcej niż sukien, bo inny miałam w monologu, inny na półfinał i finał. Na szczęście nawet najlepszy i najpopularniejszy spektakl schodzi z afisza. Wtedy odkupywałam od teatru kreacje i kapelusze. Żyły ze mną dalej na estradzie.

Czy to znaczy, że nigdy nie miała Pani absolutnie własnych kreacji estradowych?

Owszem, miałam. Zawsze przywiązywałam dużą wagę do mojego „służbowego” wyglądu. W 1953 roku zaczęliśmy jeździć z „Podwieczorkiem przy mikrofonie” do Ameryki. Szybko weszłam w konszachty z pewnym sklepem z resztkami tkanin w Nowym Jorku. Wydawałam na nie całe zarobione pieniądze, ale nie żałowałam tego. Po powrocie znakomici teatralni krawcy wyczarowywali z nich cudowne kreacje. Kiedyś z kolejnego pobytu przywiozłam sobie piękny szyfon, z którego powstała suknia i płaszcz estradowy. Pojechałam z koncertem do jakiejś wsi pod Lublinem. Zima, nie najcieplejsza sala, ludzie siedzieli w płaszczach, a ja energicznie weszłam na scenę. Szyfon zawirował i wtedy mały chłopczyk z pierwszego rzędu krzyknął: „Mamusiu, mamusiu, czy to do nas Matka Boska przyjechała?”

Jaki ubiór lubi Pani prywatnie?

Jeśli chodzi o kolory, zawsze preferowałam czerń z bielą, choć był moment, kiedy uwielbiałam czerwień i błękit, a teraz, na starość, beże i biele. Ze zrozumiałych powodów noszę długie spódnice. Przy moim podróżniczym trybie życia nauczyłam się posługiwania minimalną ilością biżuterii, przedtem gubiłam ją nagminnie w hotelach. Na całe wakacje zabieram jedną walizkę z odzieżą i neseser z kosmetykami.

Pani ciągle w trasie, ciągle zapracowana. Czy długo tak można?

Na razie tylko sześćdziesiąt lat! Urodziłam się właściwie na wozie. Podróżowanie weszło mi w krew, a koncerty, spotkania z publicznością, są największą przyjemnością, nawet treścią mego życia. Miałabym sobie odmawiać przyjemności? Ponadto ludzie noszą w sobie potrzebę śmiechu, odprężenia. Często doświadczam metamorfozy widowni. Z początku spięci, żeby nie powiedzieć nadeści, w miarę trwania programu zmieniają się, zaczynają się głośno śmiać, podrygują, a w finale tryskają radością. Widzę ich oczy, na końcu przyjazne całemu światu. Wychodzą inni, uśmiechnięci, podśpiewując szlagier, którym kończę koncert. Może przez chwilę będą inni, lepsi dla siebie i innych? Czy to nie wspaniałe? Przecież humor jest wielkim darem Boga. Więc jeżdżę. Mam zanotowane w kalendarzyku godziny i miejscowości, do których mam dotrzeć i tak trwa to przez jedenaście miesięcy w roku. Za to całą resztę poświęcam



*W trakcie przygotowań do występu.
Autor nieznany (zbiory MPM w Łomży)*

na odpoczynek. Trzydzieści lat jeździłam do Ciechocinka, dwanaście do Szczawnicy i od pewnego czasu do Łądką Zdroju. W tej chwili szalenie zmieniły się hotele i zajazdy. Stały się naprawdę bardzo podobne do tego, co proponuje się w świecie. To ważne, bo przecież więcej nocy przespałam w hotelowych łóżkach, niż swoim.

Jak się Pani regeneruje?

Wystarczy mi krzesło albo fotel samochodu bądź miejsce w pociągu i natychmiast zasypiam kamiennym, wypoczynkowym snem. Tę umiejętność odziedziczyłam po ojcu.

Jak to się dzieje, że osoba tak zapracowana tak świetnie wygląda?

Trzyma mnie sama praca! Aktorstwo ma w sobie coś z magii. Mnie wciągnęło bez reszty, najczęściej nawet dwa, trzy razy dziennie. W dodatku naprawdę ważny jest śmiech i pogoda ducha. Pytają mnie, dlaczego nie mam zmarszczek i czy miałam operacje plastyczne. Wzruszam ramionami, bo nic nadzwyczajnego z twarzą nie robię. Zawsze zmywam makijaż sceniczny wodą, a potem nakładam krem. Gdy mam wolną chwilę, idę do zaufanej kosmetyczki. „Jeżdżę” na rowerze treningowym. Przez trzydzieści lat miałam swojego masażystę. Ponieważ pracuję na stojąco, dbam o nogi i od lat wkładam buty na niskich obcasach.

Pani wieloletni znajomi opowiadają, że kiedyś głos Hanki Bielickiej brzmiał zupełnie inaczej...

Ach, to bolesna karta w mim życiorysie. Pojechałam na koncerty do Lublina z Sempolińskim i jego żoną, tancerką. Jechaliśmy pociągiem, a z nami poborowi. Pootwierali wszystkie okna, zrobił się wielki przeciąg, na skutek którego dojechałam do celu „bez gardła”. Wszystkie bilety sprzedano, a odwołanie programów nie wchodziło

w rachubę. To była męka! Cóż, wszystko odbyło się zgodnie z planem, tyle, że po powrocie znajomy laryngolog rozłożył bezradnie ręce: „Coś ty zrobiła?! Już nigdy do swego dzwiczego głosu nie wrócisz! Koniec, musisz to zaakceptować...”. Płakałam, przeżywałam załamanie, ale zrozumiałam, że zaklinanie rzeczywistości na nic się nie zda. Od tego czasu estrada stała się moim domem. Podczas mówienia monologów taki głos nawet pomaga, sprawa, że te wszystkie grane przeze mnie Dziunie są bardziej autentyczne. Poza estradą miałam i mam niejakie kłopoty. Nawet w filmie reżyserzy niechętnie mnie z powodu chrypki widzieli. Najbardziej mi żal „poważniejszego” śpiewania.

Przecież nagrała Pani świetnie przyjętą płytę z piosenkami!

Wspominałam o poważniejszym śpiewaniu. Ta płyta jest przeze mnie wykrzyczana i wymruczana, a to zupełnie co innego. Pan nie wie, bo i skąd, jak śpiewałam arie operetkowe i popularne piosenki... Trudno, było – minęło, widocznie tak miało być.

Na szczęście nie straciła Pani nigdy życiowego optymizmu...

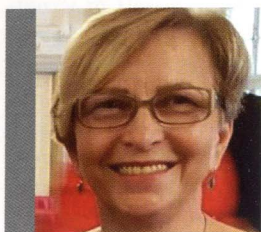
To prawda, nigdy. Jeden z moich kolegów estradowych często powtarzał genialne powiedzonko przedwojennego krawca z Nalewek: „Jak masz mały kłopot – martw się minutę, jak duży, to trzy. A najlepiej martwienie się oddaj innym nawet bez odstępnego!” Widzi pan, Bóg mnie obdarował wyjątkowo łaskawie. Mam swój świat, pewnie pół Polski znajomych, widzę uśmiechnięte twarze, robię to, co kocham... Czy mogłabym jeszcze chcieć czegoś więcej?

W ten sposób wracamy do początku naszej rozmowy, bo czy można Pani nie wielbić?

Pewnie można, więc było nie było, niech mnie pan wielbi! Co mi tam!

Jagoda Komorowska (1943-2020) – światowy krytyk mody, wybitna dziennikarka, wspaniała człowiek. Prowadziła dział mody w popularnych pismach dla kobiet, tj. w „Gospodyni” i w „Przyjaciółce”. Redaktor naczelna kwartalnika „Moda”, a następnie „Moda Top” – pierwszego żurnalu w Polsce po transformacji ustrojowej, którym kierowała do 2000 roku. Wymyśliła swoją nagrodę „Złota Fastryga”. Jurorka kapituły Złotego Medalu Międzynarodowych Targów Poznańskich, Oskarów Mody i wielu innych prestiżowych nagród dla świata mody. Odznaczona Złotym Medalem Polskiej Akademii Mody. Zmarła 5 marca 2020 roku w Warszawie.





WIEŚŁAWA KŁOSIŃSKA

CYFROWE
ARCHIWUM
TRADYCJI
LOKALNEJ

OD LOKALNEGO ARCHIWUM CYFROWEGO DO IZBY PAMIĘCI

6 listopada 2019 r. (o czym „Wiadomości Łomżyńskie” już pisały – przyp. red.) w siedzibie filii Biblioteki Publicznej Gminy Łomża w Pniewie otwarto Izbę Pamięci Rodziny Jabłońskich. To kolejne ważne przedsięwzięcie naszej gminnej ksiąźnicy. Uroczystość, która była zwieńczeniem wieloletniej pracy, napawa nas radością i satysfakcją. Stwarza też doskonałą okazję do przedstawienia sekwencji wydarzeń i okoliczności, które sprawiły, że doszło do utworzenia Izby Pamięci.

Nasze zainteresowanie lokalną historią swój pierwszy wyraz znalazło w przystąpieniu w 2012 roku do budowania lokalnego archiwum cyfrowego, w ramach projektu „Aktywna Biblioteka”, wspieranego przez Fundację Ośrodka Karta. Jego otwarcie przy bibliotece w Podgórzu nastąpiło 15 czerwca 2013 roku, a zasoby znalazły swoje miejsce na ogólnosiwiatowej platformie, prowadzonej przez Cyfrowe Archiwum Tradycji Lokalnych (CATL), obecnie Otwarte Społeczne Archiwum (OSA). Od tamtego czasu

powiększamy zbiory archiwum, dokumentując lokalną historię. Zauważamy ogromną potrzebę tej pracy i także wynikające z niej korzyści społeczne.

Archiwa to repozytoria dziedzictwa kulturowego człowieka. Zachowane oryginalne dokumenty i artefakty z przeszłości odzwierciedlają wspólną historię. Chronią swoje zasoby, ale też je udostępniają. Najnowszym trendem, zmierzającym do zachowania śladów historii na terenie całej Polski, jest archiwistyka społeczna – archiwa tworzone przez lokalnych pasjonatów historii oraz różnego typu organizacje. Dzięki dokumentom z prywatnych zbiorów osób i rodzin, które z różnych przyczyn (ustrój, lęk przed prawdą...) nie mogły ujrzeć wcześniej światła dziennego, dzięki nagraniom wywiadów ze świadkami i uczestnikami wydarzeń uzupełniają białe plamy w historii. Zasoby archiwów społecznych umożliwiły obalenie wielu tez dawniej zmanipulowanych tak, aby jak najefektywniej zatuszować prawdę.

Rozmowa z człowiekiem, który widział to, czego my nie możemy już zobaczyć i dzieli się z nami swoją historią, jest wspaniałym przeżyciem dla słuchacza. Aż prosi się o to, by nie zatrzymywać jej tylko dla siebie, ale podzielić ze społeczeństwem.

W naszym archiwum obecnie znajduje się 3281 dokumentów o przeróżnej tematyce. Budowanie jego zasobów przyczyniło się do nawiązania przeróżnych kontaktów z ludźmi i organizacjami oraz zaowocowało podjęciem związanych z lokalną historią tematów w działalności biblioteki. Wybija się zwłaszcza wątek wywózki na Sybir w czasie II wojny światowej. Wielość pozyskanych informacji dopominała się od nas działania i podjęliśmy ten ważny nie tylko dla miejscowej społeczności temat bardzo szeroko. Przy siedzibie biblioteki powstała Aleja Pamięci Ofiar Sybiru, w sercu której znajduje się pomnik oraz podświetlone słupy z nazwiskami osób wywiezionych. Została opracowana i wydana książka pt. *Nieprzemilczana historia. O zesłańcach Sybiru z gminy Łomża*. Odbyły się liczne konferencje i spotkania, a corocznie w rocznicę wywózki organizowane są uroczyste obchody. Utrwalamy pamięć o tych wydarzeniach, a informacje docierają daleko poza granice Polski.

Pozyskane do archiwum dokumenty i nawiązane kontakty inspirowały bibliotekę także do podjęcia innych tematów, a wśród nich historii Pniewa i rodziny Jabłońskich. Mieszkańcy Pniewa już wiele lat wcześniej nawiązali kontakt z rodziną Jabłońskich. Państwo Jabłońscy materialnie i duchowo wsparli budowę szkoły w Pniewie oraz ufundowali sztandar. Szkoła nosi imię Rodziny Jabłońskich. Natomiast pierwsze spotkanie z przedstawicielami rodziny, Hanną i Januszem Jabłońskimi, od którego rozpoczęła się ich bliższa współpraca z naszą biblioteką, miało miejsce podczas promocji książki *Pamiętnik samorządowca Jerzego Władysława Jabłońskiego*, wydanej przez Muzeum Przyrody w Drozdowie. W tym czasie biblioteka znajdowała się na etapie tworzenia swojego Lokalnego Archiwum Cyfrowego. Dzięki nawiązaniu współpracy z rodziną w szczególności



Ze zbiorów Lokalnego Archiwum Cyfrowego:
uroczystość poświęcenia pól w podłomżyńskim Podgórzu

sposób powiększała się kolekcja rodziny Jabłońskich, która składała się z dwunastu teczek, a każda z nich – z kilkudziesięciu dokumentów o odpowiedniej sygnaturze w systemie CATL. Liczba dokumentów archiwalnych rosła po każdej wizycie państwa Jabłońskich w bibliotece. W obecnej chwili w naszym archiwum opracowanych jest 536 dokumentów z tej kolekcji, a kolejne oczekują na opracowanie.

W 2015 roku biblioteka wydała książkę Janusza Jabłońskiego *Bo życie tak się ułożyło...*, w której nie tylko odnajdujemy wspomnienia o życiu w rodzinnym Pniewie, ale również opowieść o losach członków rodziny w czasie wojny i w powojennej rzeczywistości. W 2017 roku ukazały się z kolei *Pniewskie wspomnienia* Janusza Jabłońskiego, w których autor opisuje losy ludzi związanych z dworem w Pniewie. Dwa lata później biblioteka wydała następną pozycję Janusza Jabłońskiego – *Zarys wspomnień o Witoldzie Jabłońskim, sinologu z Pniewa*,

która przedstawia jego sylwetkę jako człowieka i naukowca.

Z wielu przeprowadzonych rozmów wynikało, że budynek, w którym mieści się obecnie biblioteka, posadowiony jest na miejscu przedwojennego dworu Jabłońskich. Choć ideologia komunistyczna bezwzględnie niszczyła kulturę ziemiańską, a materialne ślady zatarły się w pył, przetrwała pamięć oraz liczne dokumenty. Biblioteka, utrzymując kontakt z przedstawicielami rodziny, mieszkańcami Pniewa i miejscową szkołą, posiadając księgozbiór i zasoby archiwalne, podjęła inicjatywę utworzenia Izby Pamięci Rodziny Jabłońskich. Plany spotkały się z akceptacją władz gminnych.

W ubiegłym roku Janusz Jabłoński otrzymał od wójta gminy Łomża Piotra Kłysa dyplom „Zasłużony dla Gminy Łomża”. To wyróżnienie ma wyjątkowe znaczenie dla przedstawiciela rodziny, której w wyniku zmian ustrojowych odebrano majątek gromadzony przez wiele

pokoleń. Warto wspomnieć, że po 1989 roku Janusz Jabłoński ubiegał się jedynie o skromną działkę, której jednak nie otrzymał. Izba Pamięci to miejsce, które będzie łączyć pokolenia minione z przyszłymi i sprawiać, że historia dawnych mieszkańców ożyje i przetrwa dla następnych.

Otwarcie Izby Pamięci w placówce bibliotecznej to kolejny dowód kulturotwórczej roli biblioteki w środowisku lokalnym, regionalnym. Mamy nadzieję, że to miejsce zacznie żyć swoim życiem, przyciągnie historyków i pasjonatów, zainteresuje młodzież, która wzbogaci swoją wiedzę o historycznych wydarzeniach, wpływających na losy ludzi oraz o rodzinie Jabłońskich i jej wybitnych przedstawicielach. Jesteśmy dumni, że byli znaczącymi politykami, samorządowcami, naukowcami, przedsiębiorcami i że miłość do ojczyzny była dla nich priorytetem.

WIESŁAWA KŁOSIŃSKA



„Muzyka łagodzi obyczaje”*

Chińczycy klaskali swoim lekarzom, kiedy ci, wykończeni walką, wracali do domów po opanowaniu epidemii SARS-CoV-2.

Włosi podtrzymywali na duchu swoich medyków oklaskami wówczas, kiedy ci mieli najciężej; gdy w halach zamienionych na łazarety starali się ocalić jak najwięcej pacjentów.

My tyle nie czekaliśmy – zaczęliśmy bić im brawa zaraz po tym, jak przyjęli pierwszych pacjentów zarażonych nowym koronawirusem. I tak się tym własnym aplauzem zmęcziliśmy, że zrezygnowaliśmy z braw i pozostało już tylko bicie.

Mysła, mową i uczynkiem...

Ratownikowi medycznemu, robiącemu zakupy po służbie, właścicielka sklepu zasugerowała, żeby zmienić miejsce zaopatrywania się w artykuły spożywcze. Do lekarki pracującej w szpitalu jednoimiennym sąsiedzi napisali list „życzliwie doradzając”, żeby na czas epidemii nie wracała do tego swojego mieszkania. A najlepiej przeprowadziła się w ogóle do pacjentów. Pielęgniarki oblano farbą – i wyjaśniono

dłaczego – samochód, którym dojeżdżała do pracy w szpitalu.

To tylko nagłościone przypadki. Co prawda jeszcze nie przemoc fizycznej, ale może łącznie z obawą przed zarażeniem.

Jako dziwnie zbiegło się to w czasie z ustępowaniem pierwotnego przerażenia i obywatelskiego stuporu (niestety tylko fizycznego, bo intelektualny nie zelżał).

Mydło i papier toaletowy znów wypełniły sklepowe półki, a my zaczęliśmy wychodzić z domów nie tylko po to, żeby wyprowadzić psa.

Wirusy wprawdzie krążyły gdzieś niedaleko, bo przypominały o tym codzienne komunikaty służb epidemiologicznych, ale nas i naszych bliskich omijały. W miejsce niepewności i lęku zaczęły pojawiać się więc złość i bunt.

Tę pierwszą można było wyładować na tych, którzy nas cały czas narażali (to te przykłady powyżej) i na wszystkich innych w opiniach i dyskusjach, głównie internetowych. W tej samej wirtualnej przestrzeni zaczął rodzić się

też bunt. Najpierw złościono, że nikt nie nosi masek ochronnych jak w krajach azjatyckich, bo tam przecież pomogły. Niedługo po tym, jak nakaz taki wprowadzono, coraz więcej zaczęło pojawiać się głosów, że są one nie tylko nieskuteczne, ale wręcz szkodliwe i zagrażają człowiekowi bardziej niż sam wirus, przed którym miały chronić. Podczas gdy jedni domagali się izolowania wszystkich podejrzewanych o nosicielstwo i surowszych restrykcji za przerywanie kwarantanny, inni wyrzekali na bezsensowne zakazy i niszczenie gospodarki.

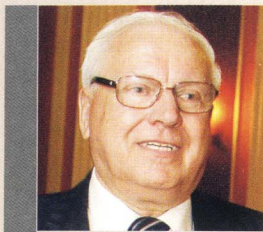
W imię „normalności”, a przy najmniej znacznie ograniczonych restrykcji, gotowi byli nawet zaryzykować życie tych kilku czy kilkunastu procent współobywateli. Tym bardziej, że chodziło przecież o pokolenie, które „swoje już przeżyło” – rodziców i dziadków.

I wtedy narodziło się „Hot 16 challenge 2”.

Swoje szesnaście wersów z opisaniem trudów sytuacji, wezwaniem do pomocy medykom, pomagania sobie i słowami nadziei na przyszłość wyśpiewali (wyskandowali?) nie tylko raperzy, a nawet nie tylko piosenkarze, ale niemal wszyscy do tego nominowani. A konto z wpłatami na pomoc służbom medycznym rosnęło.

Odurzonym skalą poparcia hejterom odjęło władzę w palcach na klawiaturze. Bo przekrój biorących udział w tej akcji sprawił, że niemal każdy mógł sprawdzić, że osoba, którą ceni, także wzięła w tym udział.

*- to jedno z ulubionych powiedzeń Jerzego Waldorffa, a zarazem tytuł jego felietonów



ZYGMUNT ZDANOWICZ

KRONIKA Łomżyńska

■ 6 marca setne urodziny obchodził mieszkaniec Zambrowa Zygmunt Janczarski. Wśród licznych gości Jubilata był burmistrz miasta Kazimierz Dąbrowski z delegacją. Fot. www.zambrowiacy.pl



■ 8 marca Zespół Artystyczny „Kolneńskie Dziewczyny z Plussem” wystąpił z jubileuszowym koncertem z okazji swojego 10-lecia. Dotychczas występował 200 razy, śpiewając, tańcząc i prezentując skecze kabaretowe. Fot. KOKiS



■ 11 marca Powiatowa Biblioteka Pedagogiczna w Kolnie ogłosiła wyniki dwuetapowego konkursu historycznego „595 lat Kolna”. Laureatami zostali: wśród uczniów kl. IV-VI Oliwia Sielawa i Karol Szczepankowski (uczniowie SP nr 2 w Kolnie), wśród uczniów klas VII-VIII Katarzyna Podchul i Aleksandra Wojśław (również SP nr 2 w Kolnie), wśród uczniów szkół średnich Magdalena Zalewska i Natalia Zielińska (II LO ZST w Kolnie).

■ Stowarzyszenie „Szansa” w Zambrowie otrzymało 20 000 złotych od Stowarzyszenia Żon

Akredytowanych Ambasadorów w Polsce (SHOM). Pieniądze przeznaczono na pomoc materialną trzydziściorgu mieszkańcom powiatu zambrowskiego.

■ Łomżyńska firma mebli łazienkowych DEVO zdobyła prestiżową nagrodę w międzynarodowym konkursie Red Dot 2020 za nowatorski projekt kolekcji OVAL, autorstwa pracowni Grymasz Studio. Właściciel firmy Jerzy Karwacki stworzył wiodący w Polsce zakład produkcji mebli łazienkowych.

■ Z końcem marca sfinalizowano prace archeologiczne na ul. Rządowej w Łomży, w miejscu, gdzie przed 1939 rokiem stał Hotel Polski oraz jedna z wież kościoła ewangelickiego, zburzonego przez Niemców w 1944 roku. Zabezpieczono dużą ilość kafli i dwa bagnety. Znaleźiska będą udokumentowane przez archeologa Mieczysława Bienię.

■ Z końcem marca bociany wróciły do niektórych gniazd na Ziemi Łomżyńskiej. Po raz 16 zasiedliły gniazdo w Brychach (gm. Radziłów). W gnieździe z widokiem na dolinę Narwi osiedlili się Racza i Czech, podglądani przez kamerę, umieszczoną przez Łomżyński Park Krajobrazowy Doliny Narwi.



■ Pandemia ogarnęła prawie wszystkie państwa świata. W Polsce kilkadziesiąt tysięcy ludzi przebywa w kwarantannie. Ponad 20 tysięcy osób jest zakażonych, zanotowano ponad 1000 zgonów z powodu koronawirusa. Organizowana jest akcja szycia masek, zbierane są pieniądze dla szpitali. W tę akcję włączyły się urzędy miast i gmin. 100 tys. zł przekazało starostwo łomżyńskie, a 60 tys. zł radni miasta Łomży. Z pomocą spieszą przedsiębiorstwa. Między innymi właściciele ubojni Rytel z Podgórza przekazali środki ochrony warte 50 tys. złotych.

■ 4 kwietnia, po przerwie związanej z utworzeniem szpitala „jednoimienne”, ruszyło laboratorium Szpitala Wojewódzkiego w Łomży, dostępne dla mieszkańców Ziemi Łomżyńskiej.

■ 6 kwietnia Zarząd i Rada Nadzorcza Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Piątnicy wsparły finansowo szpital w Łomży i Ostrolęcę kwotą 720 tys. zł z przeznaczeniem na zakup niezbędnego sprzętu,

wspomagającego leczenia chorych, zakażonych koronawirusem.

■ 7 kwietnia ukończono rozbudowę Hospicjum pw. św. Ducha w Łomży.



■ Ku zadowoleniu pomysłodawcy, profesora Romualda Kotowskiego, został rozstrzygnięty X Łomżyński Konkurs Matematyczny PWSliP, składający się z dwóch etapów. W związku z pandemią koronawirusa, konkurs został skrócony o jeden etap. Udział wzięło 159 uczestników z pięciu województw. 89 najlepszych zakwalifikowało się do wielkiego finału. Zwyciężyła Wiktoria Koniecko z I Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki w Łomży.

■ 16 kwietnia Jarosław Pokoleńczuk wygrał konkurs na dyrektora Szpitala Wojewódzkiego w Łomży. Powołanie do pełnienia funkcji z dniem 1 czerwca 2020 r. odebrał 13 maja.

■ I Liceum Ogólnokształcące im. T. Kościuszki w Łomży zorganizowało 16 kwietnia I Ogólnopolski Młodzieżowy Festiwal Krótkometrażowych Filmów Dokumentalnych Doc.Camera dla uczniów szkół średnich. Zwycięzcami zostali licealiści z Koszalina Klaudia Perz i Paweł Koza za film pt. „Pani Mama”.

■ Wójt gminy Łomża Piotr Klys zakwalifikowany został do dziesiątki finalistów XIX ogólnopolskiego konkursu „Wójt Roku 2019”. Jest jedynym reprezentantem woj. podlaskiego. Gratulujemy. Fot. my.lomza.pl



■ Ofiarą walki strażaków z pożarem w BPN została doceniona przez prezydenta RP Andrzeja Dudę. 4 maja uhonorował kilku z nich medalami Za Ofiarność i Odwagę. Prezesowi OSP w Goniądzu wręczył

WIADOMOŚCI
ŁOMŻYŃSKIE
kupisz z przyjemnością
w Salonie Prasowym

u Darka
Łomża, ul. Dworna 4



promesę na zakup bojowego samochodu gaśniczego. Natomiast na apel dyrektora BPN Andrzeja Grygoruka 38 tysięcy darczyńców podczas zbiórki internetowej ofiarowało ponad 3,5 mln zł., które trafiły do 89 OSP.

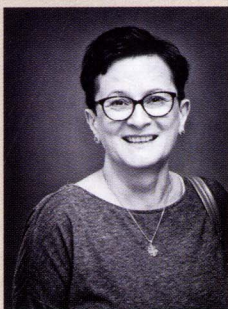
■ 21 kwietnia zmarła Krystyna Barbara Humeńczuk († 65), nauczyciel języka polskiego, bibliotekarz i wicedyrektor Szkoły Podstawowej nr 1, a następnie Publicznego Gimnazjum nr 1 w Łomży.



Współpracownicy i wychowankowie wspominają Ją jako troskliwego wychowawcę, pełnego zapału i pasji dydaktyka, niedościgniony wzór dobroci i koleżeństwa.

■ 25 kwietnia ugaszono pożar bagien biebrzańskich, który przez 6 dni strawił 5,5 tys. hektarów powierzchni Biebrzańskiego Parku Narodowego. Życie straciły setki zwierząt. Ogień strawił ptasie legi. Samotny orlik splonął ratując swoje młode i gniazdo przed pożarem.

■ Zmarła Katarzyna Łebkowska, nauczycielka Szkoły Podstawowej nr 7 w Łomży, wybitny pedagog, wychowawca, nauczyciel z powołania.



■ Kolejne odkrycia archeologiczne przy przebudowie ulicy Giełczyńskiej i 3 Maja. Pod powierzchnią ulicy Giełczyńskiej natrafiono na 3 studnie, prawdopodobnie z końca średniowiecza, oraz chodnik z bali. Natomiast na ulicy 3 Maja natrafiono na mur, który najprawdopodobniej należał do stajni znajdującej się za nieistniejącym budynkiem starostwa z przełomu XIX/XX wieku i sporo zabytków ruchomych.

■ 26 kwietnia 2020 roku zmarł Jan Zawistowski († 67), były sekretarz miasta Łomży (pełnił tę funkcję w latach 1990-2010 r.). Spoczął na cmentarzu parafialnym w Kobylinie Borzymach.



■ Na wydanie „Księgi Pamięci Gminy Żydowskiej w Łomży” czekaliśmy 10 lat. Dziś można nabyć ją w Łomżyńskim Towarzystwie Naukowym im. Wągów w Łomży. Zespół redakcyjny pracował w składzie: Adam Czesław Dobroński, Danuta Bzura, Wiesława Teresa Czartoryska, Małgorzata Krystyna Frąckiewicz, Adam Sokołowski, Ewa Wroczyńska i Sławomir Zgrzywa. O „Księdze...” pisaliśmy obszernie w poprzednim wydaniu „Wiadomości Łomżyńskich”.

■ 2 maja ustanowione zostało Sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia w Małym Płocku. Proboszcz parafii ks. Jan Pieńkosz napisał tekst nowenny do Matki Bożej Małopłockiej, który dekretem zatwierdził biskup łomżyński Janusz Stepnowski. To ósme sanktuarium Matki Bożej w diecezji łomżyńskiej.

■ Andrzej Grzybała (67 l.) z Siemienia Nadrzecznego koło Łomży został wpisany na światową listę osób, które przebiegły co najmniej 300 maratonów. Na polskiej liście osób, które przebiegły co najmniej

100 maratonów, jest jedynym z Ziemi Łomżyńskiej. Fot. www.4lomza.pl



■ 4 maja Izabela Metelska została dyrektorem Hospicjum pod wezwaniem Św. Ducha w Łomży. Jest magistrem pielęgniarstwa, ukończyła zarządzanie i posiada specjalizację z opieki paliatywnej. Zastąpiła dyrektorem Teresę Stecikiewicz – założycielkę, długoletnią dyrektorkę placówki, inicjatorkę budowy jej siedziby, która nadal pozostaje prezesem Łomżyńskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Chorych „Hospicjum” pw. Św. Ducha.



■ W Muzeum Diecezjalnym w Łomży została otwarta wystawa poświęcona biskupowi Stanisławowi Stefankowi. Prezentowane są najistotniejsze eksponaty, związane z funkcją pasterza diecezji w latach 1996-2011 oraz przedmioty codziennego użytku.

■ W maju Komitet Obrony Łomżyńskiego Szpitala, posłowie Stefan Krajewski i Lech Antoni Kołakowski oraz osoby prywatne i instytucje występowały do władz naczelnych i wojewódzkich o przywrócenie w Szpitalu Wojewódzkim w Łomży, przekształconym na czas pandemii w tzw. jednoimienny, pełnego zakresu sprawowania opieki zdrowotnej. Nie zabrakło też głosu TPZŁ.

■ Na cmentarzu parafialnym w Śniadowie zbiorowa mogiła 26 nieznanym żołnierzom polskim, poległym 2 sierpnia 1920 roku w walce o niepodległą Polskę, została odnowiona przez władze gminy z okazji setnej rocznicy zwycięskiej wojny polsko-bolszewickiej.

■ 13 maja Andrzej Grygoruk (na zdjęciu) został odwołany z funkcji dyrektora Biebrzańskiego Parku Narodowego, którą pełnił 3 lata. Pełniącym obowiązki dyrektora BPN, do czasu powołania nowego, został Mariusz Siłakowski, dotychczasowy z-ca dyrektora. Fot. Radio Białystok



■ W Zambrowie rozstrzygnięto Ogólnopolski Konkurs Literacki „O diamentowe pióro”. Laureatów wyłoniono w formie elektronicznej. Pierwsze miejsce w kategorii wiersz o tematyce dowolnej

(dorośli) wygrał Tadeusz Charmusko ps. „Rumianek” z Suwałk. W kategorii szkół ponadpodstawowych zwyciężyła Dominika Liszkiewicz ps. „Biblistka” z Piły, poinformował Miejski Ośrodek Kultury w Zambrowie – organizator konkursu.

■ 18 maja społeczność Ziemi Łomżyńskiej upamiętniła 100. rocznicę urodzin św. Jana Pawła II. W Łomży przed pomnikiem Papieża – Polaka władze miasta i parlamentarzyści złożyli kwiaty. Bracia kurkowi zaciągnęli wartę, a modlitwę poprowadził o. Jan Bońkowski z klasztoru Braci Mniejszych Kapucynów.



■ W kwietniu krzyż epidemiczny, zwany karawaką, stanął przed kościołem w Burzynie (gm. Jedwabne) w intencji oddalenia pandemii.

■ 19 maja Helena Staniasek z Krzeczkowa – Nowych Bieniek ukończyła 105 lat. O Jej urodzinach pamiętali najbliżsi i burmistrz Czyżewa Anna Bogucka.

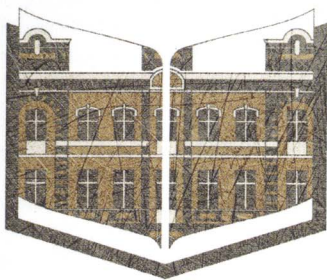


■ 28 maja pułkownik w stanie spoczynku Leon Wagner, Sybirak, działacz Związku Żołnierzy Wojska Polskiego, obchodził 90 urodziny. Uroczystość odbyła się w gronie członków Związku Żołnierzy Wojska Polskiego oraz dowódców 18 Pułku Logistycznego w Łomży. Fot. mylomza.pl



■ 31 maja Halina Sypniewska, nauczycielka, działaczka kultury w doskonałej kondycji, ukończyła sto lat. Z tej okazji Jubilatkę odwiedził prezydent Łomży, Mariusz Chrzanowski w towarzystwie przewodniczącej Rady Miejskiej, Alicji Konopki, przekazując serdeczne życzenia i upominki oraz listy gratulacyjne od prezesa Rady Ministrów i wojewody podlaskiego. Fot. www.lomza.pl





DAWNO TEMU W BIBLIOTECE...

Szanowni Państwo, zakładka „Dawno temu w Bibliotece” prezentuje najważniejsze wydarzenia z historii Biblioteki Publicznej w Łomży.

Naszą sentymentalną wędrowkę rozpoczniemy 3 maja 1946 roku, czyli w dniu oficjalnego otwarcia biblioteki. Każde wydarzenie będziemy starali się poprzedzić krótkim wstępem, naświetlającym okoliczności tego zdarzenia oraz zilustrować skanami zdjęć archiwalnych. Wszystkie materiały ilustracyjne pochodzą ze zbiorów Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łomży.

Według naszych zamierzeń, poniższe przedsięwzięcie skierowane jest nie tylko do bibliotekarzy, regionalistów, ale także do mieszkańców Łomży, zainteresowanych jej historią, ponieważ historia biblioteki nieodłącznie wpisuje się w historię naszego miasta.

Mamy nadzieję, że publikowane materiały spotkają się z Państwa przychylnym przyjęciem.

DANIEL FRĄCKIEWICZ
Miejska Biblioteka Publiczna w Łomży

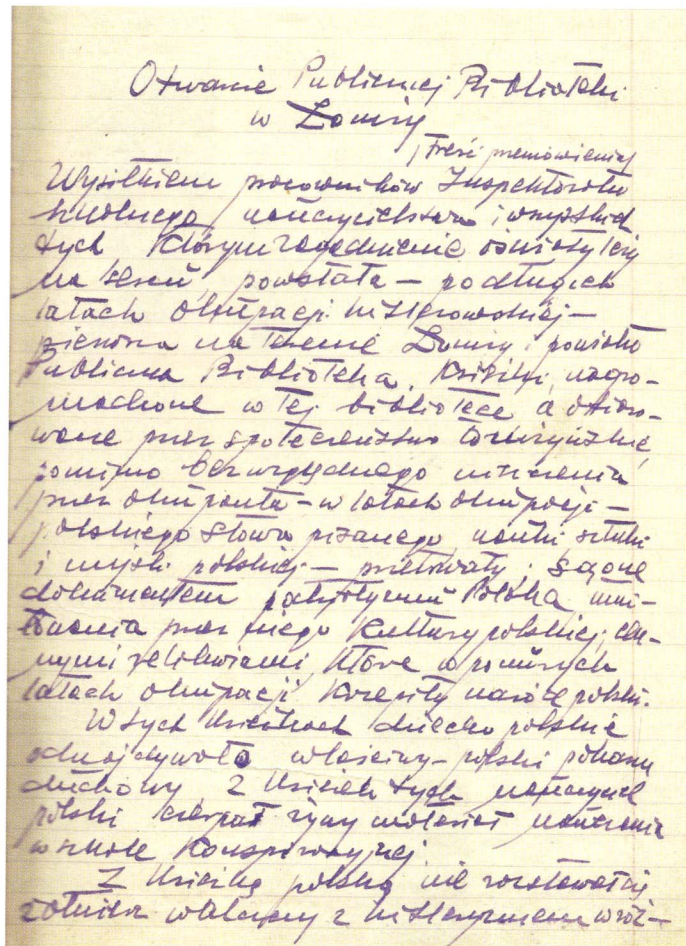
Biblioteka Miejska w Łomży po II wojnie światowej

Po zakończeniu II wojny światowej pierwsza biblioteka publiczna w Łomży została otwarta w dniu 3 maja 1946 r. Uroczystego otwarcia dokonał starosta łomżyński Tadeusz Żeglicki.

Pierwszą siedzibą biblioteki było pomieszczenie wygospodarowane w budynku przedwojennego hotelu Metropol przy ulicy Giełczyńskiej, w którym mieściła się Szkoła Podstawowa nr 4.



Biblioteka publiczna w pomieszczeniu szkoły na parterze, po prawej stronie od wejścia. (oryg. w zbiorach MBP w Łomży)



Rękopis fragmentu wystąpienia starosty łomżyńskiego (oryg. w zbiorach MBP w Łomży)



W jednym pomieszczeniu zlokalizowana była wypożyczalnia oraz czytelnia na 10 osób.

Zbiory biblioteki stanowiły głównie książki pochodzące z przedwojennych bibliotek łomżyńskich, uratowane z pożogi wojennej przez pracowników Inspektoratu Szkolnego w Łomży, a także dary osób prywatnych. Łącznie w dniu otwarcia biblioteki jej księgozbiór liczył ok. 3000 woluminów. Formalne udostępnianie zbiorów rozpoczęło się 1 czerwca. Do końca 1946 roku zarejestrowano 487 czytelników.

17 października 1947 roku dokonano podziału Biblioteki Publicznej w Łomży na bibliotekę miejską i bibliotekę powiatową, zlokalizowane w jednym pomieszczeniu. W miejscu tym biblioteka funkcjonowała do 5 września 1949 roku, kiedy to została przeniesiona do nowego lokalu przy ul. Wiejskiej 1. C. d. n.

Henryk Baczewski

(1948-2020)

Dr inż. Henryk Baczewski, herbu Dołęga – urodzony 20 kwietnia 1948 r. w Baczach Mokrych, miejscowości położonej w dawnym powiecie łomżyńskim, wymienionej w dokumentach z 1326 oraz 1398 r. jako „gniazdo rodu Baczewskich”, nadanej im wraz z herbem Dołęga. Mieszkańcy szlacheckiej wsi trudnili się uprawą roli, wykorzystywaniem pożytków z lasów i obroną Ojczyzny, gdy zachodziła potrzeba.

Henryk był synem Jana i Stanisławy z Tomaszewskich. Będąc żołnierzem funkcjonującego w strukturach 18 DP, stacjonującego w Zambrowie 71 Pułku Piechoty, Jan Baczewski wziął udział w wojnie obronnej Polski. Walczył w obronie Wizny. Po bitwie pod Łętownicą k/Andrzejewa dostał się do niemieckiej niewoli. Po 17 września 1939 r. był jeńcem wojennym stalagów m.in. w Królewcu. Po powrocie z niewoli wstąpił do zbrojnego podziemia niepodległościowego, w którego szeregach pozostał do marca 1947 roku.

Po ukończeniu Szkoły Podstawowej w Wygodzie, Henryk Baczewski rozpoczął w 1963 r. naukę w Państwowym Technikum Rolniczym im. Stacha Konwy w Łomży. Szkołę średnią ukończył w czerwcu 1968 roku, a w październiku został studentem Wydziału Rolniczego Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie, przemianowanej w tamtych latach na Akademię Rolniczo-Techniczną. W 1973 r. został absolwentem wspomnianej uczelni. W trakcie studiów był stypendystą naukowym, co po ich ukończeniu skutkowało podjęciem pracy na stanowisku naukowo-dydaktycznym w Instytucie Ekonomiki i Organizacji Rolnictwa AR-T.

W latach 1974-77, w ramach Stacjonarnych Studiów Doktoranckich, przygotował



w 1978 r. obronił rozprawę doktorską zatytułowaną: „Zastosowania teorii przepływów międzygałęziowych (input-output analysis) w procesie zarządzania i planowania produkcji przedsiębiorstw rolnych”. W 1974 odbył staż, a w 1976 roku pojął pracę w Cultuurtechnische Dienst w Utrechtie (Holandia), będącym Departamentem Ekonomiki i Organizacji Rolnictwa Ministerstwa Rolnictwa i Rybołówstwa Królestwa Holandii.

Będąc pracownikiem naukowo-dydaktycznym w Katedrze Metod Matematycznych i Ekonometrii Instytutu Ekonomiki i Organizacji Rolnictwa AR-T, był promotorem kilkudziesięciu wartościowych prac magisterskich i ponad 20 samodzielnych opracowań naukowych. Za wskazane osiągnięcia otrzymywał nagrody rektora.

Lata 1987-1997 Henryk Baczewski spędził w USA, gdzie miał możliwość zdobycia wiedzy z zakresu szeroko pojętej ekonomii i prawa gospodarczego oraz zasad organizacji społeczeństwa funkcjonującego w warunkach różnorodności etnicznej.

Po powrocie ze Stanów Zjednoczonych pracował w biznesie oraz podjął działalność dydaktyczną. Był m.in. prezesem Zarządu Warmińsko-Mazurskiej Agencji Rozwoju Regionalnego S.A., dyrektorem Regionalnego Otwartego Funduszu Emerytalnego „Zurych-Solidarni”. Zasiadał w kilku radach nadzorczych, m.in. w Radzie Nadzorczej Kopalni Węgla Brunatnego „Konin” i innych, był wiceprezesem Rady Nadzorczej w Towarowym Domu Maklerskim „ARRTRANS” S.A. w Łodzi. Wykładał w kilku uczelniach niepublicznych, m.in. w Wyższej Szkole Informatyki i Ekonomii TWP w Olsztynie.

W latach 2006-2010 sprawował mandat radnego Rady Miasta Olsztyn. W trakcie wspomnianej kadencji pełnił funkcję przewodniczącego komisji rewizyjnej.

1 kwietnia 2009 r. Henryk Baczewski został przyjęty do TPZŁ. W czasie jednej kadencji był członkiem Zarządu Oddziału TPZŁ w Olsztynie. Wykorzystując funkcję radnego, wyjątkowo efektywnie włączył się w proces organizacji jubileuszu 50-lecia olsztyńskiego oddziału Towarzystwa z udziałem władz miasta. Kolega Henryk aktywnie uczestniczył w funkcjonowaniu TPZŁ. Mimo, że choroba coraz bardziej odbierała mu siły, do ostatnich chwil swego życia interesował się naszą działalnością. Zmarł 19 marca 2020 r.

Điękując za przyjaźń oraz zaangażowanie w pracę na rzecz naszego Oddziału TPZŁ, żegnamy Cię, drogi Henryku.

*Członkowie i Zarząd Oddziału TPZŁ
w Olsztynie*



WIADOMOŚCI ŁOMŻYŃSKIE – kwartalnik Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej • www.lomzyniaczy.org

Redaktor naczelny: Wawrzyniec Kłosiński, e-mail: wawrek.klosinski@gmail.com

Zespół: Józef Babel, Łukasz Czech, Adam Dąbrowski, Adam Czesław Dobroński, Maria Kaczyńska, Iwona Krzepakowska-Bułat, Irena Rymwid-Mickiewicz, Karolina Skłodowska, Gabriela Szczęsa, Maria Tocka. **Korekta:** Maria Kaczyńska.

Adres redakcji: ul. Sienkiewicza 8, 18-400 Łomża, e-mail: zgtpzl@lomzyniaczy.org

Wydawca: Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, prezes – Zygmunt Zdanowicz

WYDANO PRZY WSPARCIU FINANSOWYM URZĘDU MIEJSKIEGO W ŁOMŻY

Kontakt z czytelnikami, prenumerata i egzemplarze archiwalne: Beata Kościelecka (godz. 8.00-15.00) tel. 86 216-28-33

Numer konta: Alior Bank 35 2490 0005 0000 4530 6891 7661

Opracowanie graficzne: Ewa K. Czetwertyńska • **Druk:** Drukarnia Kamil Borkowski, ul. Łąkowa 3, 18-400 Łomża, tel. 86 216-31-03, biuro@kbbdruk.pl

Redakcja korzysta z prawa do poprawiania, skracania nadesłanych tekstów, zmiany tytułów oraz niepublikowania materiałów niezamówionych.



Na 602 rocznicę nadania Łomży praw miejskich – podczas plenerowej sesji z tej okazji – mieszkańcy otrzymali w prezencie od władz miasta Park Jana Pawła II – Papieża Pielgrzyma z 20 kamiennymi tablicami, zawierającymi myśli Wielkiego Polaka. 📷 Marek Maliszewski



*Archeologiczny poligon w centrum Łomży.
Archeolodzy odkrywają coraz to nowe tajemnice, skrywane dotąd przez miasto... 📷 Józef Babel*